

MS. HELEN KLUM  
799 DUFF AVE.  
AMBRIDGE, PA.

**HISTORYA KOMICZNA.**



2401. 228.672  
ANATOLE FRANCE.

(Z Akademii Francuzkiej).

---

# HISTORYA KOMICZNA.

Przekład

*EMILII WĘSŁAWSKIEJ*

z przedmową

**WŁ. JABŁONOWSKIEGO.**

---

7  
**WARSZAWA**  
DRUKARNIA  
**A. T. JEZIERSKIEGO**  
47. Nowy-Świat 47

50,000

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 7 Февраля 1904 года.



257332

Wz 146/94

7.09

## PRZEDMOWA.

---

Z „Trzech Muszkieterów” literatury francuskiej, za jakich w swoim czasie mogli uchodzić: P. Bourget, I. Lemaitre i A. France — ostatni tylko pozostał wierny sobie samemu i literaturze, niczego się nie zaparł, nikogo nie zdradził, żadnych ustępstw poniżających nie zrobił. Strzegł go od tego nie tyle temperament chłodniejszy niż u innych współtowarzyszów, ile umysł dziwnie dojrzały, wytrawny i przezorny, wobec którego pryskały wszelkie bańki mydlane pozorów, który niechybnie szedł najprostszą drogą do rdzenia rzeczy i uwikłać się sprzecznościom nie dawał.

Majestatycznie pogodny i wyniosły, pobłażliwie uśmiechnięty, albo niepostrzeżenie ironiczny, nie znoszący deklamacji i zapędów jednostronnych, postępował znakomity autor „Thais”, „Zbrodni Sylwestra Bonnard’a”, „Ogrodu Epikura” i t. p. — wciąż w jednym kierunku — analizy życia i duszy ludzkiej, badania ich sprężyn ukrytych, szukania, po za spletaną siecią zjawisk, praw niezłomnych bytu. Po-

zornie obojętny na zło i dobro, dołę i niedołę, rozkosz i cierpienie, na to wszystko, co podnosi, bądź przygniata istotę ludzką, lubiący uchodzić w oczach świata za badacza-sceptyka, dla którego wszystko posiada jednakową wartość, za epikurejczyka, miłującego życie, pozbawione wstrząśnień i głębszych ukochań — zdradza często A. France, za tą maską zubożnienia i spokojnego rozczarowania, duszę wrażliwą i niespokojną, trawioną bolesnemi zagadnieniami bytu, pełną współczucia dla nędz ludzkich, oddaną cierpiącym i wydziedziczonym.

W mózgu tego wrzekomego sybaryty-intelektualisty krwawi się wciąż, niewidzialna dla oka ludzkiego, święta rana ideału, tli powolny ogień zapalu dla rzeczy wielkich; z pogodnego oblicza ironizującego epikurejczyka bije nieraz subtelna łuna głębokiej melancholii, tej, która się wylęga w otchłani serca, na dnie jego nadziei rozwianych, marzeń upartych, acz nieziszczonych, tęsknota do światła i harmonii wśród odwiecznych mroków, rozterki i upadku życia.

Tego rodzaju usposobienia, poznawanie ludzkich błędów i ułomności, odczucie wiekuistych nędz i fatalizmów, ciężących nad naturą człowieczą, uczyniły z pisarza francuskiego filozofa wyrozumiałego i pobłażliwego, człowieka życzliwego — wprost dobrego — który nienawiść wypenił z duszy własnej. Będąc mistrzem ironii i szyderstwa, jest zupełnie pozbawionym złości, nie zna, co to być w wrogim stosunku do istoty ludzkiej — ci zaś, których stawia pod pręgierz, nie są napiętnowani niezgładzonym piętnem, gdyż winy ich, śmieszności, lub zbro-



dnie traktuje najczęściej A. France, jako nieunikniony wynik tych nieubłaganych złudzeń, opętań i zbroczeń, jakim natura ludzka fatalnie ulega, jako skutek działania sił, wobec których jest bezradną.

Ostatnia powieść A. France'a „Historia komiczna”, zdradza te same usposobienia i dążności, jakimi nacechowana jest wogóle jego twórczość. Z faktu banalnego, którego nie podjęliby pisarze przeciętni, poszukujący zewnętrznych sensacji i barw jaskrawych, wysnuł A. France zajmujący „wykład o życiu”, o jego prawach, pokazał nam jego mechanizm oraz nieuniknione działanie składających go kół i kółek.

Powieść ta jest również ciekawą ilustracją do dziejów serca kobiecego, którego „Historię komiczną” — ujął w szereg zmian koniecznych, w łańcuch nierozzerwalnie związanych przyczyn i skutków, które procesowi życia nadają kierunek nieodwołalny, tragiczny.

Środowisko, wśród którego zachodzi owa „historia komiczna” — zostało odtworzone przez A. France'a z nieporównaną wprawą, z przenikliwym zrozumieniem pobudek i sił, poruszających niem. Jest to świat teatralny, sfera kłamstw i obłudy zawodowej, życia sztucznego, które z powodu swej automatycznej doskonałości, staje się niemal prawdziwym, szczerem.

Na to wszystko, na świat ów i jego udane zarówno, jak istotne nędze, na człowieka wogóle, zdanego na łaskę własnej natury ułomnej, łudzącej go pozorami, stawiającej mu pułapki, prowadzące

przez szeregi komicznych i tragicznych niespodzianek—pada z wysoka światło, pochodzące od samego autora (w powieści reprezentuje go doktor Trublet), które wciska się we wszelkie ciemne jego zakątki, przenika, jak promienie Roentgena, w miejsca, gdzie się kryją: upadek moralny, cierpienie, nędza...

Wł. Jabłonowski.

Działo się to w Odeonie, w pokoju jednej z artystek. W blasku elektrycznej lampy, Felicja Nauteuil, z włosami upudrowanymi, podsinionymi oczyma, uróżowanymi policzkami i uszami, ubieloną szyją i ramionami, podawała swą nóżkę pani Michon, teatralnej garderobianej, która wkładała na nią małe trzewiczki ciasne, o czerwonych obcasach.

Doktor Trublet, przyjaciel aktorek i doktor całego personelu teatralnego, opierał łysą czaszkę o poduszkę kanapy, a złożony ręce na brzuchu, zadawał pytania:

— Cóż jeszcze, dziecko drogie?

— Czy ja wiem!... Duszność... zawroty głowy... Nagły niepokój, jak gdybym umrzeć zaraz miała. To nawet jest najprzykrejsze.

— Czy napada cię czasami chęć do płaczu lub śmiechu, bez żadnej widocznej przyczyny?

— Tego nie mogę powiedzieć, bo przecie w życiu tyle jest przyczyn do śmiechu i płaczu!..

— Czy nie doznajesz błysków w oczach?

— Nie... ale wystaw sobie doktorze, że w nocy wydaje mi się, że widzę pod meblami kota, który patrzy na mnie płomiennymi oczyma.

— Nie trzeba śnić o kocie — rzekła pani Mi-

chon — to zły znak... Widok kota zapowiada zdradę ze strony przyjaciół i wiarołomstwo kobiety.

— Ależ ja nie we śnie widzę kota, ale na jawie!

Trublet, obowiązany tylko raz na miesiąc przychodzić do Odeonu, zachodził tam jako sąsiad prawie co wieczór. Lubił artystki, z przyjemnością rozmawiał z niemi, dawał im rady i cieszył się zupełnem ich zaufaniem. Obiecał Felicyi, że jej zaraz kurację przepisze.

— Moje drogie dziecko, zajmiemy się żołądkiem, a kotów pod meblami więcej nie zobaczysz.

Pani Michon prostowała gorset. Doktor, nagle zachmurzony, patrzył, jak ciągnęła sznurowadła.

— Nie ściągaj brwi, doktorze — rzekła Felicya — ja się nigdy nie ściskam. Z taką jak moja figurą byłoby to zupełnie głupie.

Myśląc o swej najlepszej przyjaciółce, dodała:

— To dobre dla Fagietty, która niema ani ramion, ani bioder... Tworzy jedną linię... Michon, możesz ściągnąć jeszcze trochę... Wiem, że jesteś nieprzyjacielem gorsetów, doktorze. Przecie nie mogę nosić jak te kobiety - estетки leniuszków i obwijać się w powijaki... chodź, przesun rękę, przekonasz się, że się nie ściskam zbyt mocno.

Bronił się, że nie jest nieprzyjacielem gorsetów, potępiał tylko zbyt ciasno ściągnięte.

Ubolewał, że kobiety nie mają pojęcia o harmonii linii, że z cienkością w pasie wiążą pojęcia wdzięku i piękności, nie rozumiejąc, że piękność cała leży w miękkich wygięciach, przy których ciało przy wspaniałym rozwoju klatki piersiowej powoli zwęża się, by następnie zarysować spokojną, okazałą szerokość bioder.

— Figura — mówił — figura, ponieważ użyć muszę tego okropnego słowa, powinna być przejściem powolnem, nieznacznem i łagodnem między tem, co

stanowi chlubę kobiety — pierś jej i łono. A psujecie sobie klatkę piersiową, co pociąga za sobą zanik pięknych kształtów piersi, wgniatacie żebra, wyźlabiając wstrętną bruzdę ponad pępkiem. Murzynki ostrzące zęby i rozcinające sobie wargi, by włożyć w nie koła drewniane, z mniejszem barbarzyństwem oszpecają siebie, gdyż łatwo pojąć, że zostało coś z piękności kobiecej istocie, która przesunęła sobie pierścień przez chrząstkę nosową, a w wargę wpakowała drewnianą deseczkę wielkości nakrywki tego słoika. Ale вина jest kompletna, gdy kobieta szerzy spustoszenie w uświęconym centrum państwa swego.

Omawiając kwestyę, leżącą mu na sercu, przytaczał jedną po drugiej rozmaite odmiany szkieletu i mięśni, spowodowane gorsetem, opisywał dokładnie i barwnie obrazy ponure i krotochwilne.

Nanteuil śmiała się słuchając, śmiała się, gdyż jako kobieta, skłoną była do wyśmiewania brzydoty i nędzy fizycznej, a przytem, odnosząc wszystko do małego światka artystek, każdą potworność, opisywaną przez doktora, przypominała sobie u jakiejś koleżanki co przybierało w jej mózgu rozmiary karykaturalne. Oprócz tego, wiedząc, że jest dobrze zbudowaną, cieszyła się swem młodem ciałem, wystawiając sobie te wszystkie ułomności cielesne. Śmiała się i szła ku doktorowi, ciągnąc za sobą panią Michon, trzymającą sznurowadła jak lejce, z miną czarownicy udającej się na sabbat.

— Proszę stać spokojnie! — zawołała.

Oponowała doktorowi, twierdząc, że wiejskie kobiety, nie noszące gorsetów, bardziej są jeszcze zdeformowane, niż kobiety w mieście mieszkające.

Doktor gorzko wymawiał cywilizacyom Zachodu ich pogardę i nieznamość piękności żyjącej.

Trublet, zrodzony w cieniu wieży Saint-Sulpice, jako młody doktor wyjechał na praktykę do Kairu.

Przyniósł ztamtąd trochę pieniędzy, chorobę wątroby i znajomość przeróżnych obyczajów ludzkich. W latach dojrzałych, po powrocie do kraju rodzinnego, nie opuszczał wcale starej ulicy de Seine i cieszył się życiem, trochę smutny tylko, widząc, jak współcześni mu ludzie niezręcznie wywiązują się z tego nieszczęsnego nieporozumienia, od ośmnastu wieków klóćącego ludzkość z naturą!

Zastukano. W korytarzu rozległ się głos kobiety.

— To ja!

Felicja, nakładając różową spódnicę, prosiła doktora, by drzwi otworzył. Weszła pani Douce, aktorka, umiejąca przez długie lata utrzymać swe masywne ciało w kształtach przyzwoitych, grając na scenie szlachetne matki.

— Dzień dobry, pieśczołko. Witam doktora... Wiesz co, Felicjo, nie prawię komplementów. Ale, widziałam cię pozawczoraj i upewniam cię, że „w drugim” „Matki powiernicy” (*Mère confidente*) grasz doskonale i to rzeczy niełatwe.

Nauteuil uśmiechnęła się oczami i jak to zwykle bywa, gdy się słyszy komplement, oczekiwała na drugi. Pani Douce, zachęcona milczeniem Nauteuil, szepnęła nowe pochwały:

— ...Rzeczy wyborne, osobiste.

— Tak pani znajduje? Tem lepiej! gdyż ja nie czuję tej roli, a przytem ta wielka Perrin odbiera mi cały animusz. Doprawdy! gdy siadam na kolanach tej kobiety, doznaję uczucia... Nie macie pojęcia, jakie okropności ona mi szepcze na ucho, gdy jesteśmy na scenie. Wściekła się... Ja rozumiem wszystko, ale są rzeczy wstręt wzbudzające... Michon, czy stanik nie marszczy się na plecach na prawo?

— Dziecko drogie — zawołał Trublet z entuzjazmem — wypowiedziałaś zachwycające słowa.

— Które? — spytała poprostu Nauteuil.

— Powiedziałaś: „Rozumiem wszystko, ale są rzeczy wstręt wzbudzające”. Rozumiesz wszystko; czyny i myśli ludzkie, ukazujące ci się jak szczególne objawy ogólnej mechaniki, nie wzbudzają w tobie ani gniewu, ani nienawiści. Ale są rzeczy dla ciebie wstrętne, posiadasz delikatność odczuć, a prawdą jest, że moralność jest zależną od gustu. Dziecko moje, chciałbym, by tak zdrowo myślano w Akademii Nauk moralnych. Tak, masz słuszość. Równie daremnie wyrzucalibyśmy twej koleżance instynkta, które jej przypisujesz, jak kwasowi mlecznemu—jego funkcyje rozmaite.

Nanteuil wyraziła znów wstręt dla swej partnerki; ale pani Doulice, otrzymująca czasami śniadanie u Joanny Perrin, zmieniła przedmiot rozmowy.

— W każdym razie, pieszczotko, pojęłaś rolę Anieli. Pamiętaj tylko to, co mówię: ruchy powinny być skrupowane, cała postać sztywna. To tajemnica naiwnych. Wystrzegaj się swej wrodzonej gibkości. Młode dziewczęta na scenie powinny być odrobinę laleczkowate. Styl tego wymaga i suknia. Widzisz, Felicjo, przede wszystkim powinnaś pamiętać, grając w „Matce powiernicy”, która jest sztuką prześliczną...

Felicja nie dała jej skończyć:

— Ja tam sobie ze sztuki nic nie robię, byłem miała dobrą rolę. A prócz tego, nie lubię tego Marivau... Śmiejesz się, doktorze? czy głupstwo palnęłam? czy to nie Marivau napisał „Matkę powiernicę”?

— Ależ on!

— No więc!... Usiłujesz zawsze w kłopot mnie wprowadzić... Mówiłam, że ta Anieli działa mi na nerwy. Wolałabym bardziej coś skomplikowanego, wyraźniejszego... Dziś szczególnie rola ta wydaje mi się niemożliwa.

— I dlatego grać ją będziesz doskonale — rzekła pani Doulce, ciągnąc dalej swe nauki.

— Najlepiej wchodzimy w nasze role, gdy jesteśmy do tego zmuszone, pomimo naszej woli. Mogłabym ci przytoczyć mnóstwo przykładów. Ja sama w „Wiwandyerce z Austerlitz” zadziwiłam salę całą szczerością mej wesołości w chwili, gdy dano mi znać, że mój biedny Doulce, taki wielki artysta, taki dobry mąż, został tknięty apopleksją, ujmując swą trąbkę w orkiestrze opery.

— Dlaczego chcę koniecznie, żebym była tylko naiwną? — pytała Nanteuil, która chciała być i kochanką i wielką kokietką i grać wszystkie role.

— To łatwe do zrozumienia—ciągnęła uparcie pani Doulce—sztuka komedyi jest sztuką naśladownictwa. Otóż naśladuje się najlepiej to, czego się nie czuje.

— Nie łudź się, dziecko drogie—rzekł doktor do Felicji—gdy się jest naiwną, zostaje się nią na zawsze. Rodzą się Aniele lub Doryny, Celimeny lub panie Pernelle. W teatrze jedne mają zawsze lat dwadzieścia, drugie trzydzieści, a jeszcze inne sześćdziesiąt... Ty, panno Nanteuil, będziesz miała zawsze lat ośmnaście i pozostaniesz naiwną.

— Zadowolona jestem ze swego stanowiska—odparła Nanteuil — ale nie możesz wymagać, bym z jednakową przyjemnością przedstawiała wszystkie naiwne. Jest rola, którą bardzo pragnęłabym odegrać! To Agnieszka w „Szkołe kobiet”.

Na samo imię Agnieszki zachwycony doktor szepnął:

„*Mes yeux ont—ils du mal pour en donner au monde?*”

— Agnieszka! oto piękna rola!—zawołała Nanteuil—prosiłam o nią Pradela.

Pradel, dyrektor teatru, dawny aktor, przezorny, dobroduszny, pozbawiony złudzeń i zbyt daleko sięgających nadziei, lubił spokój, książki i ko-



biety. Nanteuil miała tylko słowa pochwały dla Pradela, mówiła o nim bez niechęci, z uczciwą swobodą.

— On był ohydny, wstrętny, obrzydliwy — rzekła; — odmówił mi roli Agnieszki, by dać ją Falempinie. Trzeba przyznać, że nie prosiłam go jak się należało. A tymczasem ta Falempina' zna się na sposobach! już ja wam to mówię. Ale to mi wszystko jedno: jeżeli Pradel nie da mi roli Agnieszki, rzucę go i brudną jego budę!

Pani Doulce nie szczędziła nauk. Zasłużona aktorka, ale stara, zużyta, nigdy już nie angażowana, udzielała rad debiutantkom, pisywała za nie listy i zdobywała tym sposobem jedyny posiłek w formie obiadu lub śniadania.

Gdy pani Michon wiązała jej czarną aksamitkę na szyi, Felicja pytała Trubleta.

— Doktorze, mówisz, że te zawroty głowy pochodzą z żołądka i pewnym jesteś tego?

Zanim Trublet zdołał odpowiedzieć, pani Doulce zawołała, że zawroty zawsze pochodzą z żołądka i że ona sama w parę godzin po jedzeniu doznaje bolesnego odęcia. Następnie poprosiła doktora o lekarstwo.

Felicja zamyśliła się nad czemś; chwilami umiała myśleć. Nagle zawołała:

— Doktorze, chciałabym ci zadać pytanie, które ci się może śmiesznem wyda... ale chciałabym bardzo usłyszeć, czy wiedząc, co się w ciebie znajduje, widząc rozmaite rzeczy, które mamy w sobie, nie przeszkadza ci to, w pewnych chwilach z kobietami. Mnie się zdaje, że wiedząc o tem wszystkim, musisz doznawać obrzydzenia.

Z głębi swych poduszek Trublet przesłał Felicji całusa.

— Dziecko drogie, skóra pięknej kobiety jest najdelikatniejszą, najbogatszą, najpiękniejszą tkaniną. Powiedziałem to sobie przed chwilą, podziwiając

twój karczek i łatwo zrozumiesz, że pod tem wrażeniem...

Skrzywiła się pogardliwie.

— Sądziś, że dowcipnym jesteś, mówiąc niedorzeczności, gdy ci zadaję poważne pytanie?

— A więc, jeżeli panienka życzy sobie tego, to dam odpowiedź pouczającą. Dwadzieścia lat temu mieliśmy w szpitalu św. Józefa, w sali autopsyjnej, starego stróża, pijaka, ojca Rousseau; ten, codziennie o jedenastej zrana spożywał śniadanie przy stole, na którym rozciągnięty był trup. Jadł, bo był głodny. Głodnych nie powstrzyma od jedzenia, jeżeli mają co jeść. Tylko ojciec Rousseau mawiał: „Nie wiem, czy to powietrze sali to sprawia, ale mogę jeść tylko rzeczy świeże, apetyczne.”

— Rozumiem—rzekła Felicya.—Potrzeba wam małych kwiaciarek... ale to wzbronione, wiesz... Do prawdy, siedzisz tu jak Turek i nie napisałeś dla mnie recepty.

Rzuciła wzrokiem pytanie.

— Żołądek, gdzie on jest właściwie?

Drzwi pozostały niedomknięte. Młody człowiek, bardzo przystojny, bardzo elegancki, pchnął je, i wszedłszy już do pokoju, spytał grzecznie, czy może wejść.

— Pan—rzekła Nanteuil.

Podawała mu rękę, którą ucałował z przyjemnością, w sposób elegancki i żartobliwy.

Pani Doulice nie okazał żadnych specjalnych względów i spytał.

— Jakże się masz, doktorze Sokratesie?

Tak czasami nazywano Trubleta dla jego płańskiej twarzy i subtelnej mowy.

Trublet wskazał mu Nanteuil.

— Panie de Ligny, oto młoda osoba, która nie wie napewno, czy ma żołądek. To kwestya poważna. Radzimy jej polegać na odpowiedzi pewnej

małej dziewczynki, lubiącej bardzo konfitury. Mama jej powtarzała: „żołądek cię zaboli”, a ona na to: „to panie mają żołądki, a małe dziewczynki ich nie mają.”

— Boże mój! jakże głupim jesteś, doktorze! — zawołała Nanteuil.

— Gdybyś pani powiedziała prawdę! Głupota to pierwszy krok do szczęścia. To najwyższe zadowolenie. To największe dobro w społeczeństwach ucywilizowanych.

— Lubujesz się w paradoksach, kochany doktorze — zauważył pan de Ligny. — Ale zgadzam się z panem, że lepiej być głupim jak wszyscy, niż rozumnym jak nikt.

— To prawda, co mówi Robert! — zawołała Nanteuil z przekonaniem.

I tonem namysłu dodała:

— W każdym razie, jedna rzecz jest pewną, doktorze. Głupota czasami nie pozwala na czyny niedorzeczne. Zauważyłam to nieraz. Najniedorzeczniej postępują nie najgłupsze istoty. Są np. kobiety inteligentne zupełnie głupie z mężczyznami.

— Mówisz o takich, co się bez mężczyzn obejść nie mogą?

— Nic przed tobą ukryć nie można, mój mały Sokratesie.

— O! — westchnęła wielka Douce — co za straszna niewola! Kobieta nie panująca nad zmysłami, zgubiona jest dla sztuki.

Nanteuil wzruszyła ramionami, nie dość jeszcze zaokrąglonemi.

— O! o! babuniu, chciałabyś do znikczemnienia dzieciaki doprowadzić! Także pomysł! Za twoich czasów, czy aktorki panowały nad swymi... jakżeś to powiedziała? Dajże pokój! nie panowały wcale!

Widząc, że Nanteuil staje się burzliwa, wielka

Doulce usunęła się z powagą i godnością. Z korytarza przesłała jeszcze jedną wskazówkę:

— Pieszczotko, pamiętaj z roli Anieli zrobić paczek róży. Rola tego wymaga.

Zirytowana Nanteuil nie słuchała więcej.

— Doprawdy — mówiła, siadając przed toaletą—ona mnie do wrzenia doprowadza ta stara Doulce ze swemi morałami! Sądzi, że zapomniano o jej historyjkach? Myli się. Pani Ravand opowiada je sześć razy na tydzień. Cały świat wie, że swego męża muzykusa doprowadziła do takiego stanu wyczerpania, iż pewnego wieczoru stuknął nosem w swą trąbkę. A jej kochankowie, mężczyźni jak dęby, spytaj Michon, w niespełna dwa lata stawali się tchnieniem, cieniem. Oto, jak ona panowała nad swemi... A niech by jej ktoś powiedział, że jest zgubioną dla sztuki!...

Doktór Trublet, jakby chcąc powstrzymać Nanteuil, wyciągnął ku niej obie ręce.

— Nie oburzaj się, moje dziecko. Pani Doulce jest szczerą. Kochała mężczyzn, kocha teraz Boga. Kocha człowieka, co może, jak może i tem, co ma. Ona stała się czystą i pobożną, gdy przyszedł wiek odpowiedni. Zachowuje wszystkie przepisy religijne: chodzi na msze w niedziele i święta, ona...

— No to co! dobrze robi, że na msze chodzi—oświadczyła Nanteuil. — Michon, zapal świecę, by nagrzać karmin. Muszę wargi nanowo przeciągnąć... Rozumie się, że dobrze robi, chodząc na mszę. Ale przecie religia nie zabrania mieć kochanka.

— Doprawdy? — spytał doktor.

— No! przecie znam lepiej religię swoją niż ty, to pewno!

Odezwał się ponury dzwonek i płaczący głos zawiadamiaacza rozlega się po korytarzach:

— Mała sztuka skończona!...

Nanteuil wstała i zawiesiła sobie na rękę aksamitkę ze stalowym medalionem.

Kłęcząc, pani Michon układała trzy fałdy wateau różowej sukni i mając usta pełne szpilek, końcem warg wypowiedziała tę sentencję:

— Ze starości ma się tę korzyść, że mężczyźni już nie dręczą więcej.

Robert de Ligny wyciągnął papierosa:

— Pozwolisz?... spytał, podchodząc do zapalonej świecy stojącej na toalecie.

Nanteuil, nie spuszczająca go z oka, ujrzała pod lekkim wężem pałające od płomienia świecy usta. Poczowała ciepło w uszach. Udając, że sztuka klejnotów, musnęła ustami szyję de Ligny i szepnęła:

— Po przedstawieniu czekaj na mnie w drodze, na rogu ulicy Tournon.

W tej chwili na korytarzu powstał ruch. Aktorowie, grający w małej sztuczce, wracali do swych pokoi.

— Doktorze, podaj mi gazetę.

— Bardzo nudna, uprzedzam panią.

— Wszystko jedno, daj mi ją pan.

Wzięła i nakształt abażura trzymała ją nad głową.

— Bolał mnie oczy od tego światła.

Prawdą było, że czasami zbyt jaskrawe światło sprowadzało jej migreny. Ale ujrzawszy się w lustrze z podsiniąłymi powiekami, uczernionymi rzęsami, umalowanymi policzkami i ustami karminem w kształt serca zakreślonymi, uważała, że wygląda jak trup umalowany, więc nie chciała, by ją taką widział Ligny.

Gdy tak twarz w cieniu trzymała, wszedł do pokoju długi, szczupły chłopiec. Miał oczy głęboko osadzone, nos nakształt dzioba kruka; usta stężale w uśmiechu; na długiej jego szyi, jabłko Adama<sup>1)</sup> rzucało długi cień na koszulę. Miał na sobie kostyum odźwiernego.

— To ty, Chevalier? Jak się masz, przyjaciele-

<sup>1)</sup> Grdyka.

lu?—rzekł wesoło doktor Trublet, lubiący aktorów i do tego złych, a dla Chevaliera mający szczególne względy.

— Jak widzę, wszyscy tu się znajdują! — zawołała Nanteuil.—To już nie garderoba, lecz młyn.

— Swoją drogą, witam młynarkę—rzekł Chevalier.—Wystaw sobie, że sala pełna idyotów.

— To jeszcze nie racya, żeby wchodzić, nie stukając—odparła z gniewem Nanteuil.

Doktor zrobił uwagę, że to pan de Ligny drzwi nie zamknął. Wówczas Nanteuil zwróciła się do Lignyego z akcentem serdecznej wymówki.

— Doprawdy, pan to zrobiłeś? — Ale przecie gdy się weszło, należy przed innymi drzwi zamykać.

Otuliła się w płaszcz z białej flaneli.

Wołano artystów na scenę.

Ujęła rękę, którą podawał jej Ligny, a poszukawszy palcami miejsca, gdzie skóra na zgięciu jest czulszą, zapuściła w nią paznogie. Poczem znikła w ciemnym korytarzu.

## II.

Chevalier, przebrawszy się w swe zwykłe ubranie, usiadł w łoży na dole, obok pani Doulice. Patrzył na Felicyę malutką, oddaloną na scenie. A przypomniawszy sobie, że trzymał ją w swych objęciach w swej stancyjce pod strychem przy ulicy des Martyrs, płakał z bólu i wściekłości.

Spotkali się rok temu na zabawie, urządzonej pod egidą deputowanego Lecureuil, na benefis biednych artystów dziewiątego okręgu. Krążył wokół niej milczący, zgłodniały, ze swemi długimi zębami i pałającymi oczyma. Przez piętnaście dni włóczył się za nią nieustannie. Ona, zimna i spokojna, udawała, że go nie widzi; raptem oddała mu się tak nagle, iż dnia tego rozstając się z nią, roz-

promieniony i zdziwiony jeszcze, powiedział jej nie-dorzeczność.

Powiedział:

— A ja myślałem, że jesteś z porcelany!..

Przez całe trzy miesiące doznawał rozkoszy ostrych jak cierpienie. Potem Felicya stała się jakby oddaloną, obcą. Teraz go nie kochała. Szukał przyczyny, nie mogąc jej znaleźć. Cierpiał z braku miłości, a jeszcze więcej z zazdrości. Zapewne, w pierwszych pięknych chwilach swej miłości wiedział, że Felicya miała kochankę Girmandela, woźnego z ulicy de Provence, i cierpiał nad tem. Ale nigdy go nie widząc, powziął o nim pojęcie tak niejasne, źle określone, iż zazdrość jego rozpływała się w mgle. Felicya mówiła mu, iż z Germandelem nie brała nigdy udziału w tem, co się działo, i to było dla niego wielkiem zadowoleniem. Mówiła mu jeszcze, że oddawna, od miesięcy całych, Germandel był dla niej tylko przyjacielem, i wierzył jej. A zresztą oszukiwał woźnego i z przyjemnością odczuwał swą wyższość. Dowiedział się również, że Felicya, kończąc szkołę, nie oparła się swemu profesorowi. Ale przykrość doznana z tego powodu łagodzona była myślą, że takim jest uświęcony wiekami zwyczaj. Teraz Robert de Ligny sprawia mu nieznośne cierpienia. Od jakiegoś czasu widział go ciągle przy niej. Ze kochała Roberta, nie mógł wątpić o tem. A jeżeli czasami wmawiał w siebie, że ona jeszcze się nie oddała temu człowiekowi, to nie miał do tego żadnej podstawy, poprostu, pragnął chwilami doznać ulgi w swych cierpieniach.

Rozległy się oklaski w głębi teatru i kilku pa-nów z pierwszych rzędów, z lekkim szeptem warg, biło rękami powoli i bez hałasu. Nanteuil dała ostatnią replikę pannie Perrin.

— Bravo! bravo! Ona jest prześliczna ta ma-ła—westchnęła pani Doulce.

W napadzie żrącej zazdrości, Chevalier stał się złym kolegą. Położył palec na czole.

— Ona gra tem.

Następnie, kładąc rękę na sercu, dodał:

— A tem grać należy.

— Dzięki ci, przyjacielu, dzięki? — szepnęła pani Douce, w sentencyach tych widząc pochwałę dla siebie.

Mówiła istotnie zawsze, że gra się dobrze tylko sercem; twierdziła, że chcąc z siłą wyrazić jakąś namiętność, trzeba jej doznawać i koniecznem jest odczuwanie wrażeń, które się ma oddać. Chętnie siebie stawiała za przykład. Grając królowę w tragedyi i polknąwszy na scenie czarę trucizny, całą noc czuła ogień we wnętrzościach swoich. Mówiła jednak:

— Sztuka dramatyczna jest sztuką naśladowniczą, a tem lepiej naśladuje się uczucie, im mniej się je odczuwa.

A ilustrację tej sentencji znajdowała jeszcze w swej pełnej tryumfu karierze.

Głęboko westchnęła:

— Ta mała jest cudownie uzdolnioną. Ale musimy litować się nad nią: przyszła w złym czasie. Niema już publiczności, krytyki, sztuk, teatrów, niema artystów. To upadek sztuki.

Chevalier wstrząsnął głową.

— Nie lituj się nad nią: ona otrzyma wszystko, czego pragnąć można, powodzenie, majątek. To przebiegła, chytra sztuka, a z tem się do wszystkiego dochodzi. A tymczasem ludzie z sercem powinni tylko kamień uwiązać sobie u szyi i rzucić się do wody. Ale ja również pójdę daleko, ja również wzniosę się wysoko. Będę także chytrym.

Wyszedł, nie czekając końca przedstawienia. Nie wrócił do garderoby Felicji, bał się spotkać tam Lignego, którego widok był mu nieznośnym,



i dlatego, że tym sposobem mógł sobie wystawić, że i Ligny tam nie wrócił.

Doznając bólu fizycznego, oddalając się od niej, pięć, czy sześć razy okrążył galerye puste i ciemne Odeonu, zszedł ze schodów i skierował kroki na ulicę de Medicis.

Stangreci drzemali na kozłach, oczekując na koniec przedstawienia, a nad wierzchołkami drzew chmury przebiegały po tarczy księżycy. Zachowując resztkę nadziei, niedorzecznej a słodkiej, poszedł tej, jak i każdej nocy, oczekiwać na Felicyę u jej matki.

### III.

Pani Nanteuil wraz z córką zajmowała szczerupłe mieszkanko na piątym piętrze przy bulwarze Saint-Michel; okna wychodziły na ogród Luksemburski. Uprzejmie witała Chevaliera, ceniąc w nim to, że kochał Felicyę, nie będąc wzamian kochanym, z zasady nie wiedząc, że był kochankiem jej córki. Posadziła go przy sobie w jadalnym pokoju, gdzie palił się ogień w piecu. Przy świetle lampy błyszcząły na ścianie rewolwery, szable ze złotymi chwastami, przy kobiecym pancerzu ozdobionym metalowemi krążkami; zbroje te przeszłej zimy Felicya jeszcze jako uczennica konserwatorium, miała na sobie, przedstawiając Joannę d'Arc u jakiejś księżniczki, zajmującej się spirytyzmem. Wdowa po oficerze, matka artystki, pani Nanteuil, właściwie Nanteau, zachowywała te trofea.

— Felicya jeszcze nie wróciła, panie Chevalier. Nie oczekuję jej powrotu przed północą. Nie schodzi ze sceny aż do końca przedstawienia.

— Wiem o tem, grałem w pierwszej sztuce. Wyszedłem z teatru po „pierwszym” „Matki powiernicy“.

— O! panie Chevalier, dlaczegoż nie zostałeś do końca? Moja córka bardzo byłaby z tego rada. Grając, przyjemnie mieć przyjaciół na sali.

Chevalier odpowiedział dwuznacznie:

— O! przyjaciół, ich przecie nie brak!

— Mylisz się pan, panie Chevalier, prawdziwi przyjaciele nie często się spotykają. Pani Doulice była tam zapewne. Zadowoloną była z Felicji?

Dodała bardzo pokornie:

— Czułabym się prawdziwie szczęśliwa, gdyby ona miała powodzenie. To tak trudno wybić się w jej zawodzie, gdy się jest samą, bez poparcia, bez protekcji! O, biedna mała, bardzo potrzebuje tego!

Chevalier nie miał ochoty litować się nad Felicją. Odparł opryskliwie, wzruszając ramionami:

— O! nie obawiaj się pani. Ona da sobie radę. Ona jest komedyantką w duszy. Ona ma teatr w sobie, w nogach swoich.

Pani Nanteuil uśmiechnęła się dobroduszenie.

— Biedne dziecko! Nie tęgie są te jej nogi. Felicja nie jest chorowitą. Ale nie powinna się męczyć. Miewa częste zawroty głowy, migreny.

Służąca przyniosła i postawiła na stole talerz z wędliną, butelkę i talerzyki.

Chevalier łamał sobie głowę, jak przystąpić do pytania, które mu drżało na ustach od chwili, gdy wstępować zaczął na schody, wiodące do mieszkania. Chciał wiedzieć, czy Felicja widuje się jeszcze z Girmandelem, o którym nic teraz nie słyszał. Tworzymy pragnienia zastosowane do naszego położenia. Teraz, w nędzy swej egzystencji, w rozpacz serca, pragnął gorąco, by Felicja, nie kochając jego zupełnie, kochała choć trochę Girmandela, i całą nadzieję pokładał w tem, że Girmandel zatrzyma ją dla siebie, weźmie ją całą, nie

zostawiając z niej nic dla Roberta de Ligny. Myśli, że młoda dziewczyna żyje z Girmandelem, łagodziła jego zazdrość, a drżał z obawy, by się nie dowiedzieć, że opuściła woźnego.

Zapewne nie pozwoliby sobie nigdy rozpytywać matkę o kochanków córki. Ale można było rozmawiać z panią Nanteuil o Girmandelu, stosunki rodzinne z tym urzędnikiem ministeryum, człowiekiem bogatym, żonatym, ojcem dwóch ślicznych córek, uważała za rzecz zaszczytną, nie podejrzewając w nich nic złego. Aby nazwisko jego wprowadzić do rozmowy, należało użyć fortelu. Chevalier znalazł jeden, który mu się wydał bardzo dowcipnym.

— Ale prawda — rzekł — spotkałem dziś Girmandela.

Pani Nanteuil milczała.

— Jechał dorożką przez bulwar Saint-Michel. Zdawało mi się, że go poznaję, zdziwiłbym się, gdybym się mylił.

Pani Nanteuil nic nie odpowiedziała.

— Byłyście panie niegdyś w dobrych z nim stosunkach. Czy widujecie go zawsze?

Pani Nanteuil odparła niedbale:

— Pan Girmandel? Ależ tak, widujemy go zawsze...

Na te słowa Chevalier odczuł radość. Ale ona go oszukała, nie powiedziała prawdy. Skłamała przez miłość własną, nie chciała zdradzać domowej tajemnicy, która, jak sądziła, honoru domowi jej nie przynosi.

Prawdą było, że w uniesieniu miłości dla Ligny'ego, Felicja porzuciła Girmandela i woźny nie pokazywał się więcej. Pani Nanteuil, w swoim wieku, wzięła kochanka przez miłość macierzyńską, aby córka biedy nie doznawała.

Zawiązała dawny stosunek z Tony Meyer, handlarzem obrazów przy ulicy Clichy. Tony Mey-

er nie był dobrym zastępcą Girmandela: mało dawał pieniędzy.

Pani Nanteuil, rozsądna, znająca wartość każdej rzeczy, nie szemrała i wynagrodzoną była za swe poświęcenie, gdyż od sześciu tygodni jak była kochaną—odmłodniała.

Chevalier wciąż myśląc o jednym, spytał:

— Girmandel nie pierwszej już młodości.

— Starym nie jest—odparła pani Nanteuil.—

Mężczyzna nie jest starym, mając lat czterdzieści.

— Nie stracił sił żywotnych?

— Ale zkadże—odparła spokojnie pani Nanteuil.

Chevalier zamyślony umilkł. Pani Nanteuil zdrzemnęła się. Zbudzona zjawieniem się służącej, która przyniosła resztę zastawy, spytała:

— A pan, panie Chevalier, zadowolonym jesteś?

Nie był zadowolony. Krytycy garbowali mu skórę. A dowodem, że zmówili się przeciw niemu, było to, że wszyscy mówili to samo: powiadali, że ma niewdzięczną maskę.

— Niewdzięczną maskę! — wołał oburzony—powinniby powiedzieć: maskę predestynowaną... Wytłómaczę to pani... W moich oczach wszystko wzrasta; i to mi szkodzi. I tak, w „Nocy z 23 października“, którą powtarzają obecnie, ja gram Florentyna: sześć replik i koniec... Ale ja powiększam tę postać nieproporcjonalnie. Durville wściekły, wszystkie moje efekty paraliżuje.

Pani Nanteuil, spokojna, uprzejma, pocieszała go dobrymi słowy. Są trudności, ale w końcu zwycięża się je. Córka jej również zetknęła się ze złą wolą pewnych krytyków.

— Pół do pierwszej!—rzekł chmurny Chevalier.—Felicja spóźnia się.

Pani Nanteuil przypuszczała, że zatrzymała ją pani Doulice.

— Pani Doulce zwykle odprowadza ją, a pan wie, że jej nigdy nie pilno.

Chevalier wstał, udając, że wychodzi, chciał dać dowód, że się umie znaleźć. Pani Nanteuil zatrzymała go.

— Zostań-że pan. Felicja zaraz nadejdzie. Kontenta będzie, gdy pana tu znajdzie. Zjesz pan z nią kolację.

Pani Nanteuil znów zdrzemnęła się. Chevalier, milczący, utkwiał wzrok w zegar wiszący na ścianie i w miarę, jak skazówka posuwała się na cyferblacie, czuł zwiększającą się palącą ranę w piersi i każdy ruch wahadła zaostrzał jego zazdrość, znacząc chwile, które Nanteuil spędzała z Ligny.

Pewny był bowiem teraz, że są razem. Cisza nocna, przerywana tylko głuchym łoskotem dorożek, toczących się po bulwarze, usposabiała do wizji i męczących go myśli. Widział ich razem.

Nagle zbudzona śpiewem dochodzącym z ulicy, pani Nanteuil potwierdziła myśl, o której mówiąc, zasnęła.

— Powtarzam to ciągle Felicji: nie trzeba się zniechęcać. Są chwile ciężkie w życiu...

Chevalier potwierdził to skinieniem głowy.

— Ale ci, co cierpią — rzekł — mają to, na co zasługują. Jedna chwila wystarczy, by pozbyć się wszystkich przykrości, prawda?

Przyznała, że szczególnie w teatrze zmiana na lepsze przyjść może nagle.

Ciągnął dalej głosem głębokim, wewnętrznym:

— Jeżeli myślą, że to z powodu teatru krew sobie psuje... Teatr, wiem doskonale, że kiedyś wyrobię sobie tam piękne stanowisko!... Ale na co się przyda być wielkim artystą, gdy się nie jest szczęśliwym? Są przykrości głupie, a straszne. W skrociach odczuwa się bolesne uderzenia, a tak re-

gularne, jak tik - tak tego zegara, mogące do waryacyi doprowadzić.

Umilkł i ponurem spojrzeniem swych zapadłych oczu patrzył na broń, wiszącą na ścianie. Poczem mówił dalej:

— Jeżeli się zbyt długo znosi te głupie przykrości, te śmieszne bóle, to się jest tchórzem.

Dotknął pochwy rewolweru, który zawsze znajdował się w jego kieszeni.

Pani Nanteuil słuchała tych słów zupełnie spokojnie; ona chciała nic nie wiedzieć i to było mądrością całego jej życia.

— Straszłą rzeczą również — rzekła — jest kuchnia. Felicya ma wstręt do wszystkiego. Nie wiadomo, co dla niej robić.

Od tej chwili rwąca się rozmowa ograniczyła się na urywanych słowach, pozbawionych sensu. Pani Nanteuil, służąca, ogień koksowy, lampa, talerz, wszystko to w smutnym nastroju czekało na Felicję. Wybiła pierwsza. Ból Chevaliera był teraz wielkim i spokojnym. Posiadał pewność. Rzadziej teraz, lecz głośniej toczyły się dorożki po bruku. Nagle stanęła jedna przed domem. Po kilku chwilach usłyszał zgrzyt klucza w zamku, stuknięcie drzwiami i lekkie kroki w przedpokoju.

Zegar wskazywał dwadzieścia trzy minuty po pierwszej. Wstrząsnął nim nagle niepokój i nadzieja. To ona! Kto wie, co ona powie? Może wytłómaczy to opóźnienie w sposób zupełnie naturalny.

Felicya weszła do jadalnego pokoju z włosami w nieładzie, okiem pałającym, blada, wargi jej były jakby zmięte, zmęczona, obojętna, milcząca, szczęśliwa, ładna, zdawało się, że kryje pod swym płaszczem, który obu rękami zaciskała — resztkę rozkosznego ciepła.

Matka odezwała się:

— Zaczęłam się już niepokić... Nie rozbierasz się?

Ona odparła:

— Jeść chcę.

Rzuciła się na krzesło przed małym okrągłym stolikiem. Odrzuciła swój płaszcz na poręcz, odkrywając delikatny biust, w skromnej czarnej sukience, a oparłszy lewy łokieć na ceracie stołu, brała widelcem plasterki kiełbasy.

— Dobrze dziś poszło? — spytała pani Nanteuil.

— Bardzo dobrze.

— Widzisz, Chevalier przyszedł dotrzymać ci towarzystwa. To ładnie z jego strony, prawda?

— O! Chevalier... Niech-że więc siada przy stole.

Nie odpowiadając na pytania matki, jadła zgłodniała i urocza, jak Ceres u starej kobiety. Następnie odsunęła talerz i opierając się na krzesło, z pół zamkniętymi powiekami, a na wpół otwartymi ustami, uśmiechnęła się uśmiechem podobnym do pocałunku. Pani Nanteuil wypiła swą porcję gorącego wina i wstała.

— Nie weźmiesz mi za złe, panie Chevalier, muszę załatwić się z memi rachunkami.

Temi słowy oznajmiała ona zwykle chęć położenia się do łóżka.

Zostawszy sam na sam z Felicją, Chevalier zawołał gwałtownie:

— To głupio! to podle! ale kocham cię do szaleństwa... Słyszysz, Felicjo?

— Rozumie się, że słyszę! nie potrzebujesz mówić tak głośno.

— To śmieszne, prawda?

— Nie, to nie śmieszne, to...

Nie skończyła.

Zbliżył się do niej, ciągnąc za sobą krzesło.

— Wróciłaś o dwadzieścia pięć minut po pierwszej. Ligny cię odprowadził, pewny jestem tego.

Odwiózł cię w dorożce, słyszałem, jak zatrzymała się przed domem.

Ponieważ milczała—zawołał:

— Powiedz, że tak nie jest!

Milczała. Powtórzył głosem nalegającym, błagalnym.

— Powiedz, że nie!...

Gdyby chciała, jednym słowem, jednym wyrazem, ruchem głowy, lub ramion, uczyniłaby go bardzo łagodnym i prawie szczęśliwym. Ale milczała niepocziwie. Z zaciśniętymi ustami, z oczami w dal patrzącymi, zdawała się marzyć.

Westchnął głęboko.

— Ach! jakimże głupcem byłem, nie myślałem o tem! Mówiłem sobie, że powrócisz do siebie tak jak zawsze, z panią Doulce, lub sama... A! gdybym wiedział, że się pozwolisz odwieźć temu jego mościowi!...

— To i cóż! cóżbyś zrobił, gdybyś wiedział?

— Śledziłbym was!

Zatrzymała na nim twarde spojrzenie swych jasnych źrenic.

— Zabraniam ci tego, rozumiesz? Gdy się dowiem, że śledziłeś mnie choć raz, nie zobaczysz mnie więcej. Najprzód nie masz prawa śledzić mnie. Przypuszczam, że wolno mi postępować, jak mi się pododa!

Nie mogąc tchu złapać ze zdziwienia i gniewu, wyjąkał:

— Nie mam prawa? Nie mam prawa... mówisz, że nie mam prawa?...

— Nie, nie masz prawa... a przytem ja nie chcę.

Wyraz obrzydzenia pojawił się na jej twarzy:

— To obrzydliwie szpiegować kobietę. Jeżeli choć raz spróbujesz dowiedzieć się, dokąd chodzę, wyrzucę cię za drzwi, czekać z tem długo nie będę.



— A więc — wyszeptał ze zdumieniem — nie jesteście niczem dla siebie, ja dla ciebie nic nie znaczę... nie żyliśmy razem... Słuchaj, Felicyo, przypomnij sobie...

Ona zniecierpliwiona zawołała:

— Ach! cóż mam sobie przypomnieć?

— Felicyo, pomyśl, że oddałaś mi się!

— Nie żądasz chyba, mój kochany, bym myślała o tem dzień cały. To byłoby nadużyciem.

Patrzył na nią czas jakiś, więcej z ciekawością, niż z gniewem i rzekł nawpół z goryczą, na w pół łagodnie:

— Można powiedzieć, że chytra jesteś!... Ale bądź nią Felicyo, ile ci się podoba! Co to szkodzi, gdy cię kocham? Jesteś moją, biorę cię; biorę cię i trzymam. Przecie nie mogę cierpieć wiecznie, jak biedne zwierzę jakieś. Kochaj: zapomnę o wszystkim. Rozpocznijmy nanowo miłość naszą. Tym razem wszystko będzie dobrze. Będiesz moja na wieki, moja tylko. Jestem uczciwym człowiekiem, wiesz. Możesz liczyć na mnie. Ożenię się z tobą, gdy będę miał stanowisko.

Spojrzała na niego z pogardliwym zdziwieniem.

Sądził, że ma wątpliwości co do jego przyszłości dramatycznej ażeby je rozwiać i rzekł, prostując się na swych długich nogach.

— Nie wierzysz w moją gwiazdę, Felicyo? Źle robisz. Czuję, że zdolny jestem do wielkich pomysłów. Niech mi dadzą rolę, a zobaczą. Ja w sobie mam nie tylko komedję, ja mam dramat, tragedję... tak, tragedję.

Umiem wypowiadać wiersze. O! to talent niezmiernie dziś rzadki.... To też nie myśl, Felicyo, że ci ubliżam, proponując małżeństwo. O nie!., Weźmiemy ślub później, gdy to się stanie możliwym i przyzwoitem. Nic nie nagli, rozumie się. A tymczasem wrócimy do naszych dobrych czasów z ulicy

des Martyrs. Pamiętasz, Felicyo! tak byliśmy tam szczęśliwi! Mam teraz dwa piękne pokoje, przy ulicy Montagne - Sainte - Geneviève, za Saint - Etienne - du - Mont. Fotografie twoje wiszą na wszystkich ścianach.... Ale słuchaj, zbyt wiele cierpiałem... nie chcę cierpieć dłużej. Wymagam, byś była moją, tylko moją.

W czasie jego przemowy Felicya podeszła do kominka, wzięła karty, które matka jej bawiła się co wieczór i rozłożyła je na stole.

— Tylko moja... słyszysz, Felicyo.

— Daj mi pokój, spytam karty o losy swoje. Przypatrując się kartom, szepnęła:

— Wszystkie czarne na dole.

— Ten głupiec, doskonale. To dyplomata, a ministryum spraw zagranicznych dzisiaj jest ucieczką wszystkich ludzi niezdolnych.

Podniósł głos:

— Felicyo, w swoim, jak w moim interesie, wysłuchaj mnie.

— Nie krzycz-że, mama śpi.

Ciągnął dalej głosem stłumionym:

— Wiedz, że ja nie chcę, by Ligny został twym kochankiem.

Ona podniosła głowę.

— A jeżeli nim jest?

Podszedł do niej z wzniesionem krzesłem, spojrział na nią okiem nieprzytomnym, śmiejąc się głosem bezdzwięcznym.

— Jeżeli jest, nie będzie nim długo.

Opuścił krzesło na ziemię.

Teraz strach ją objął. Usiłowała uśmiechnąć się.

— Widzisz przecie, że żartuję.

Udało jej się bez wielkich trudności wmówić w niego, że mówiła tak tylko dla tego, by go ukarać, gdyż stawał się nieznośnym. Uspokoił się. Powie-

działa mu wówczas, że jest zmęczona, że upada z potrzeby snu. Zdecydował się odejść. Na schodach już odwrócił się i rzekł:

— Felicjo, radzę ci, dla uniknięcia nieszczęścia, nie widzieć więcej Lign'ego.

Przez uchylone drzwi krzyknęła.

— Zastukaj do okienka stróża, by ci otworzył.

#### IV.

W ciemnej sali ogromne kawały płótna zakrywały balkon i łoże. Miejsce, zajmowane przez orkiestrę, zaciągnięte było olbrzymim pokrowcem, który uchylony po bokach, dawał miejsce kilku ludzkim postaciom, aktorom, maszynistom, przyjaciółom dyrektora, matkom, kochankom aktorek. Tu i tam błysnęły oczy w ciemnym zagłębieniu dolnych łóż.

Powtarzano po raz pięćdziesiąty szósty „Noc 23 października 1812”, głośny dramat, znany już od lat dwudziestu, a który dotąd w tym teatrze nie był wystawiony. Sztukę umiano i na jutro naznaczono tę ostatnią próbę, zwaną na innych, mniej poważnych scenach „próbą szwaczek”.

Nanteuil nie grała w tej sztuce. Ale miała dnia tego jakiś interes do załatwienia w teatrze, a ponieważ powiedziano jej, że Marya-Klara była niemożliwa w roli generałowej Malet, przyszła popatrzeć ukryta w głębi dolnej łoży.

Rozpoczęła się wielka scena z „drugiego”.

Seena przedstawiała izbę pod dachem w domu zdrowia, gdzie spiskowiec więziony był w 1812 r. Durville, grający generała Malet, zjawił się właśnie. Powtarzał rolę w kostymie, złożonym z długiego granatowego surduta, z kołnierzem wyżej uszu, i spodni piaskowego koloru z lampasami. Zrobił już sobie

nawet twarz, gładką, żołnierską generałów Cesarstwa, z łapką zajęczą, która przeszła od zwycięzców z Austerlitz do ich synów, mieszczan Lipcowych. Stojąc, z ręką lewą ujmującą łokieć prawej, z czołem wspartem na prawej dłoni, dyszał dumą, mówiąc głosem głębokim.

— „Sam, bez pieniędzy, z głębi więzienia, rzucać się na olbrzyma rozkazującego milionom żołnierzy, wstrząsającego ludami i królami Europy... Otóż! ten kolos runie!”

Z głębi sceny, stary Maury, grający spiskowca Jacquemonta, dał replikę:

„— Padając, i nas zgnieść może”.

Nagle z orkiestry podniosły się krzyki, pełne skargi i wściekłości.

Autor wybuchnął. Był to człowiek siedmdziesięcioletni, wrzący młodością.

— Co ja widzę tam, w głębi? To nie aktor, lecz komin. Trzeba będzie zawołać zdunów, by go stamtąd zabrali... Maury, ruszaj-że się do djabła.

Maury przeszedł.

„— Padając i nas zgnieść może... Przyznaję, że to nie będzie z twojej winy, generale. Proklamacja twoja jest doskonałą. Obiecujesz im konstytucję, wolność, równość... To machiawelizm!”

Durville odparł:

„— Najlepszego gatunku. Rasa niepoprawna, przygotowują się do zgwałcenia przysiąg, których jeszcze nie złożyli, a kłamiąc, myślą, że są Machiawelami... Władza absolutna, co zrobicie z nią głupcy?...”

Zgrzytnął ostry głos aktora:

— Nie tak, Dauville.

— Co takiego? - spytał Durville zdziwiony.

— Nie rozumiesz ani słowa z tego, co mówisz.

Aby upokorzyć aktorów, aby zgnieść ich dumę, człowiek ten, nie zapominający nigdy nazwiska mle-

czarki, lub stróża, nie raczy pamiętać nazwisk, naj-sławniejszych nawet aktorów.

— Dauville, przyjacielu, powtórz to jeszcze.

Grał wszystkie role. Wesoły, ponury, gwałtowny, czuły, nakazujący, pieszczący, zmieniał zupełnie głos; wzdychał, ryczał, śmiał się, płakał. Przeistaczał się, jak człowiek z popularnej bajki, w płomień, rzekę, kobietę, tygrysa.

Za kulisami aktorowie wymieniali między sobą krótkie, nic nieznaczące zdania. Swoboda słowa, łatwość obyczajów, poufałość stosunków nie przeszkadzała im zachować tyle, co we wszystkich zebraniach ludzi hypokryzyi, ażeby mogli patrzeć jedni na drugich bez wstrętu i nienawiści. Panowała nawet w tej pełnej życia artystycznej pracowni pozorna zgoda i jedność, stworzona myślą szczytną lub mizerną autora, jakiś duch porządku, zmieniający wszystkie współzawodnictwa i złe wole w dobre, harmonijne współdziałanie.

Nanteuil doznawała przykrego uczucia na myśl, że Chevalier znajduje się tuż obok. Od pozawczoraj, od chwili, gdy wypowiedział niejasne groźby, nie widziała go, i strach, który w niej wzbudził — pozostał.

„Felicyo, dla uniknięcia nieszczęścia, radzę ci, nie widzieć więcej Ligny’ego”. Co to miało znaczyć? Poważnie rozmyślała nad tem. Chłopiec ten, jeszcze pozawczoraj wydający się jej tak banalnym, nieznaczącym, którego na pamięć umiała, jakże jej się dziś wydawał niezbadanym, pełnym tajemnic! Spozstrzegła nagle, że go wcale nie zna! Do czego on był zdolny? Usiłowała to odgadnąć. Co uczyni? Nic zapewne. Wszyscy porzuceni mężczyźni grożą i nic nie robią. Ale czy Chevalier jest takim, jak wszyscy? Zwą go waryatem. To taki sposób mówienia. Ona sama nie wiedziała, czy niema w nim odrobiny waryacyi. Obecnie studyowała go z żywym zainteresowaniem. Bardzo inteligentna, dotąd nie

znalazła w nim wielkiej inteligencji; ale zadziwił ją kilkakrotnie uporem swej woli.

Przypominała sobie jego czyny, nacechowane dziką energią.

Zazdrosny z natury, rozumiał pewne rzeczy. Wiedział, do czego kobieta jest zmuszoną, chcąc sobie wyrobić stanowisko w teatrze, lub zdobyć toalety; ale nie chciał, by go dla miłości oszukiwano. Był-że to człowiek zdolny do popełnienia zbrodni, mógł-że być sprawcą nieszczęścia? O tem nie mogła się przekonać.

Przypomniała sobie manię tego chłopca w bawieniu się bronią. Gdy chodziła do niego na ulicę des Martyrs, widziała go zawsze czyszczącego starą fuzyę. A przecie nigdy nie polował. Chwalił się, że strzela doskonale i zawsze nosił rewolwer przy sobie. Ale czegoż to dowodziło? Nigdy dotąd nie myślała tak wiele o nim. Nanteuil niepokoiła się tak w swej łoży, gdy przyszła do niej Jonny Fagette, wytworna, wątka, Muza Alfreda de Musset, nocami męczyła swe szafirowe oczy, pisząc artykuły o modach do gazet światowych.

Mierna artystka, lecz zręczna kobieta, nadzwyczajnie czynna, była najlepszą przyjaciółką Nanteuil. Przyznawała jedna drugiej wielkie zalety, ale nie te, jakie sama posiadała, i działały zgodnie, jako dwie wielkie potęgi w Odeonie. Jednak Fagette robiła co mogła, by odebrać przyjaciółce Ligny'ego, nie z fizycznego pociągu, gdyż suchą była jak wiązka chróstu i gardziła mężczyznami, ale sądziła, że stosunek z dyplomataą dostarczy jej pewnych korzyści, a szczególnie, by nie stracić okazji okazania się „rosse”.

Nanteuil wiedziała o tem. Wiedziała, że wszystkie jej koleżanki: Ellen Midi, Duvernet, Hercshell, Falempin, Stella, Marie-Claire, chciały zabrać jej Ligny'ego.

Widziała Ludwikę Dalle, ubraną jak nauczycielka muzyki, zachowującą nawet w swych zaczepkach i dotknięciach pozory niewzruszonej uczciwości, goniącą Ligny'ego przy pomocy swych zbyt długich nóg i prześladującą go spojrzzeniami biednej Pasiphac.

Raz widziała nawet, jak poczciwa matka Ravaud, widząc zbliżającego się Ligny'ego, odkryła to, co się jej z piękności zostało, piękne ramiona, sławne od lat czterdziestu.

Fagette pokazała Nanteuil z odrazą końcem palca scenę, na której rzucał się Durville, stary Maury i Marya-Klara.

— Patrz-no na tych ludzi. Zdają się grać sześćdziesiąt metrów pod wodą.

— To dlatego, że rampa nie jest zapaloną — odparła Nanteuil.

— Nie, nie. Ten łotr wygląda zawsze jak gdyby był pod wodą. I pomyśleć, że ja także za chwilę wejść do tego aquarium.... Nanteuil nie powinnaś pozostać tu dłużej. Człowiek tonie. Ale patrzże, patrz na nich!

Durville stawał się prawie brzechomówcą, aby wydać się poważniejszym, bardziej męzkim.

„ — Pokój, zniesienie praw stowarzyszonych i konskrypcyi, wielka gaża dla wojska; w braku pieniędzy, kilka mandatów do banku, kilka stopni rozdanych właściwie—oto są środki niezawodzące.

Pani Doulice weszła do łoży. Rozkrywając trochę swój płaszcz, tragicznie podbity starożytnymi skórkami królików, pokazała małą, zmiętą książeczkę.

— Są to listy pani de Savigné — rzekła. — Wiecie, że w przyszłą niedzielę odczytuję najpiękniejsze z tych listów.

— Gdzie? — spytała Fagette.

— Sala Renarda.

Musiała to być sala nieznana, oddalona. Nanteuil i Fagette nic o niej nie wiedziały.

— Daję ten odczyt na korzyść trojga biednych sierot, pozostawionych przez artystę Lacoura, zmarłego tak smutnie na suchoty, ostatniej zimy. Pieszczotki moje, liczę na was, że rozprzedacie bilety.

— Jednak to prawda, że ta Marya-Klara jest śmieszną!—rzekła Nanteuil.

Zastukano do drzwi. Był to Konstanty Mare, młody autor sztuki, którą wkrótce miano w Odeonie przedstawiać, „la Grille”. Młody człowiek, chociaż wieśniak, żyjący w lasach, teraz miał oddychać tylko atmosferą teatralną.

Nanteuil miała grać główną rolę; patrzył więc na nią ze wzruszeniem, jak na drogocenną amforę, przeznaczoną do zawarcia jego myśli.

Durville wygłaszał dalej:

— „A jeżeli Francya nie może być zbawioną, tylko za cenę życia naszego i honoru, powiem z człowiekiem 93-go roku: „Niech zginie pamięć o nas!”

Fagette wskazała palcem na młodego człowieka z miną nadętą i laską pod brodą, siedzącego w orkiestrze:

— Czy to nie baron Deutz?

— Pytasz jeszcze!—odparła Nanteuil. — Ellen Midi gra w „czwartym”. Baron Deutz przyszedł się pokazać.

— Poczekajcie trochę moje dzieci, powiem słówko temu bałwanowi, który spotkał mnie wczoraj na placu Zgody i nie uklonił się.

— Baron Deutz?... Chyba cię nie widział!...

— Doskonale mnie widział. Ale był z rodziną. Utrę mu nosa; zobaczycie zaraz.

Zaczęła go wołać stłumionym głosem.

— Deutz! Deutz!

Baron zbliżył się i uśmiechnięty, zadowolony, wsparł się na poręczu drzwi.



— Powiedz pan, panie Deutz, czy w bardzo złem towarzystwie byłeś wczoraj, gdyśmy się spotkali, żeś mi się nie uklonił?

Patrzył na nią zdziwiony.

— Ja? ja byłem z moją siostrą

— A!

Na scenie Marya-Klara, wisząc na szyi Durvilla, wołała:

— „Idź! zwycięż, lub zgiń; w dobrej lub złej doli równą będzie chwała twoja. A cokolwiek się stanie, potrafię być żoną bohatera!”

— Pani Maryo-Klaro, proszę się usunąć!—rzekł Pradel.

W tej chwili wszedł Chevalier; widząc go autor, zaczął wyrwać sobie włosy, miotając przekleństwa.

— To nie wejście, to zawalenie się, katastrofa, kataklizm! Boże wielki! gdyby bolid, aerolit lub księżycyca kawał spadł na scenę, nie zrobiłby takiego strasznego spustoszenia... Cofam moją sztukę! Chevalier, mój chłopcze, rozpocznaj nanowo.

Malarz, który rysował kostyумы, Michał, młodzieniec o jasnej mistycznej brodzie, siedział na poręczy fotelu.

Pochylił się do ucha Rogera, dekoratora.

— Wszak to po raz pięćdziesiąty szósty autor rzuca się tak na Chevaliera.

— No, bo wiesz, on do niczego ten Chevalier—odparł bez wahania Roger.

— On właściwie nie jest tak złym—mówił pobłażliwie Michał.

— Ale on zawsze wygląda jakby się śmiał, a dla komika niema nic gorszego. Znałem go małym chłopcem w Montmartre. Na stancyi nauczyciele pytali się go: „Czego się śmiejesz?” On nie śmiał się, wcale nie miał do tego ochoty; cały dzień sypały się na niego policzki. Rodzice chcieli, aby

pracował w wytworach chemicznych. Ale on marzy o teatrze i spędza dni całe w pracowni malarza Montalent.

Montalent pracował wówczas dni i noce nad „Śmiercią św. Ludwika”, którą zamówiła u niego katedra w Kartaginie. Pewnego dnia Montalent rzekł mu...

— Trochę ciszej!—krzyknął Pradel.

— ...rzekł mu: „Chevalier, ponieważ nic nie masz do roboty, pozuj mi do Filipa Śmiałego. — Chętnie—rzekł Chevalier. — Montalent kazał mu przyjąć pozę człowieka, bólem gnębionego. Prócz tego, przyklepił mu na policzkach dwie łyzy, wielkości szkiełek w okularach.

Kończy obraz, wysyła go do Kartaginy i sprowadza sześć butelek wina szampańskiego. Po upływie trzech miesięcy otrzymuje od ojca Cornemuse, naczelnika misyi francuskich w Tunisie list, zawiadamiający, że obraz Śmierć św. Ludwika, przedstawiony kardynałowi-arcybiskupowi, został odrzucony przez jego eminencyę, wskutek nieprzyzwoitego wyrazu twarzy Filipa Śmiałego, który, śmiejąc się, patrzy na świętego króla, ojca, konającego na słomie.

Montalent nie rozumie; wściekły był, chciał wytoczyć proces jego eminencyi. Otrzymuje obraz, rozpakowuje go, przygląda się mu w pełnem milczeniu i woła nagle: „To prawda, że Filip Śmiały wygląda, jakby się za boki brał ze śmiechu. Głupcem byłem; dałem mu głowę Chevaliera, a ta bestya wygląda, jakby się wiecznie śmiał!”

— Cicho tam!—wrzasnął Pradel.

Autor zawołał:

— Pradel, przyjacielu, wyrzuć ich wszystkich za drzwi!

Reżyserował niezmqczenie.

— Trochę w tył, Trouville, tak... Chevalier,

zbliżasz się do stołu, bierzesz papiery jeden po drugim i mówisz:

„Senatus-consulte... rozkaz dnia... depesze dla departamentu... proklamacye ..” Rozumiesz?

— Tak, mistrzu... „Senatus - consulte... rozkaz dnia... depesze dla departamentów... proklamacye...”

— Dalej, Maryo-Klaro, ruszajże się, do diabła! przechodź... Tak, bardzo dobrze... jeszcze raz; bardzo dobrze, bardzo dobrze, śmiało!... A! nędzna! wszystko ciska na ziemię!...

Zawołał dyrektora sceny.

— Romilly, trochę światła. Nic nie widać. Dauvillu, przyjacielu, co tam robisz przed budką sufflera? Ani poruszysz się! Raz-że sobie wbij w głowę, że nie jesteś statuą generała Malet, ale nim samym, i że sztuka moja nie jest katalogiem figur woskowych, ale tragedją żywą, wzruszającą, wyciskającą łzy i...

Nie mógł skończyć, lkał długo, zakrywając się chustką. Potem huknął:

— Do stu piorunów! Pradel! Romilly!... gdzie Romilly? a! jest łajdak... Romilly, mówiłem, ażeby piec zbliżyć do kominka. Nie zrobiłeś tego. O czem myślisz, przyjacielu?

Próba została przerwana wskutek poważnej przeszkody: Chevalier, niosąc papiery, od których zależał los państwa, miał zemknąć z domu przez okienko w dachu umieszczone. Akcyi nie można było uregulować przed ustawieniem dekoracyi. I teraz spostrzeżono, że rozmiary źle były wzięte i że okienko było nie do użytku.

Autor skoczył na scenę.

— Romilly, przyjacielu, piec nie na miejscu. Jakże chcesz, żeby Chevalier przelazł przez okienko? Przesuń mi zaraz ten piec na prawo.

— Chętnie — odparł Romilly; ale zatarasujemy drzwi.

— Jak to, zatarasujemy drzwi?

— Naturalnie.

Dyrektor teatru, dyrektor sceny, maszyniści przypatrywali się dekoracyi w ponurej ciszy, nawet autor milczał.

— Nie kłopotuj się, mistrzu — rzekł Chevalier.—Nic zmieniać nie potrzeba, ja skoczę.

Stanąwszy na piecu, chwycił rzeczywiście za ramię okienka i wznosił się na rękach, co zdawało się niemożliwem.

Szmer podziwu wznosił się ze sceny, z za kulis i z sali.

Chevalier dał pojęcie o swej zasadniczej sile i zręczności.

— Doskonale! — krzyknął autor. — Chevalier, przyjacielu, doskonale.. Ta bestya zręczna jak małpa. Zaden z was tegoby nie potrafił. Gdyby wszystkie role tak były oddane, jak Florentyna, sztuka doszłaby do zenitu.

Nanteuil w loży swej podziwiała go prawie. Sekundę jedną, wydał jej się więcej, niż człowiekiem, człowiekiem i małpą, i strach wzrósł w niej niepomniernie. Nie kochała go, nie kochała go nigdy; nie pożądała go; dawno już minął ten czas, gdy go pragnęła, a od dni kilku nie wystawiała sobie rozkoszy z kim innym prócz z Lignym, ale gdyby znalazła się w tej chwili sam na sam z Chevalierem, czułaby się bezsilną i usiłowałaby uspokoić go swą uległością, jak się uspakaja potęgi nadprzyrodzone.

Na scenie, gdy z góry spuszczał się salon Empire, autor przy huku maszyneryi trzymał w swych rękach całą trupeę, wszystkich figurantów i dawał jednocześnie wszystkim rady lub wskazówki.

— Ty, gruba przekupko ciastek, pani Ravaud, czyś nie słyszała, jak krzyczą na Polach Elijskich:

„Oto słodczyce, panie, panowie! Kupujcie!”

To się śpiewa. Proszę mi się tego nauczyć na jutro... A ty mały, daj no mi tu swą skrzynię, pokażę ci jak to bębnić trzeba!.. A ty Fagette, co myślisz robić na balu u ministra policyi, jeżeli nie masz pończoch o złotych brzegach? Wkładaj mi zaraz pończochy włóczkowe... Już ostatnią sztukę daję do tego teatru... Gdzie jest pułkownik dziesiątej kohorty? To ty?... A więc mój przyjacielu, twoi żołnierze defilują jak wieprze..... Pani Maryo-Klaro, proszę tu bliżej, muszę panią nauczyć, jak się kłaniać trzeba.

Miał setki ust, oczów, ramion, ręce jego wszędzie sięgały. W sali Romilly ścisnął rękę pana Gombant „z Nauk moralnych”, który przyszedł jako sąsiad.

— Możesz pan mówić, co chcesz, panie Gombaut, może to nie jest dość ściśle z punktu widzenia faktów, ale sceniczne.

— Spisek Maleta— odparł pan Gombaut— jest i pozostanie zapewne długo jeszcze zagadką historyczną.

— Autor tego dramatu skorzystał z punktów niejasnych, by wprowadzić pierwiastki dramatyczne. Ale co dla mnie nie ulega wątpliwości, to, że generał Malet, chociaż trzymał z rojalistami, był sam republikaninem i pracował nad przywróceniem ludowego rządu. W swem oburzeniu wypowiedział słowo wzniosłe i głębokie. Gdy prezydent rady wojennej spytał go:

— „Kto byli pańscy współnicy?” Malet odparł: „Francja cała, i pan sam, gdyby mi się powiodło”.

Wsparty o łożę Nanteuil, stary rzeźbiarz, poważny i piękny, jak starożytny satyr, patrzył z okiem wilgotnem i śmiejącemi się ustami na scenę, w tej chwili pełną życia i ruchu.

— Rad jesteś ze sztuki, mistrzu?— spytała Nan-

teuil. A mistrz nie znający nic na świecie, prócz kości, ścięgn i mięśni, odparł:

— O! tak panie, o! tak. Tam jest mała Midi, z takim ramieniem, że to rozkosz.....

Wskazał ją palcem. Łzy mu napływały do oczu. Chevalier spytał, czy może wejść do loży. Kontent był, ale mniej ze swego nadzwyczajnego powodzenia, niż z widoku Felicyi. W szaleństwie swem wystawiał sobie, że przyszła dla niego, że go kochała, że znów mu się oddawała.

Bała się go, a będąc tehórzliwa, pochlebiała mu:

— Winszuję, Chevalier. Byłeś zdumiewającym. Twoje wyjście jest zadziwiające. Wierz mi. Nie ja jedna to mówię. Fagette twierdziła, że cudownym byłeś.

— Doprawdy? — pytał Chevalier.

Ta chwila była jedną ze szczęśliwszych w jego życiu. Ostry głos, płynący z pustych wyżyn trzeciej galeryi, przeszył powietrze, jak świst lokomotywy.

— Nie słyhać was wcale, moje dzieci; mówcie głośniejsz i wymawiajcie wyraźniej.

Ukazał się autor nadzwyczaj malutki w mroczkach kopuły.

Wówczas głos aktorów, zgrupowanych na przodzie sceny przy stoliku kartowym, rozległ się wyraźniej:

— Cesarz każe swym wojskom wypocząć przez trzy tygodnie w Moskwie, a później, z szybkością orła rzuci się na Petersburg.

— Pik, trefl, atut, markuję dwa punkty.

— Tam przepędzimy zimę, a na przyszłą wiosnę wkroczymy do Indyi, przecinając Persyę i koniec położymy potędze brytańskiej.

— Trzydzieści sześć w kwadrat.

— A ja — as.

— Ale prawda, panowie, co mówicie o de-

krecie cesarskim na paryzkich aktorów, datowanym z Kremła?

Skończyły się więc kłótnie panny Mars i panny Leverd.

— Patrzcie — rzekła Nanteuil — jak bardzo ładnie wygląda Fagette w swej niebieskiej sukni Maryi Ludwiki.

Pani Doulce wyciągnęła z pod futra paczkę biletów, zniszczonych już samem wyjmowaniem.

— Mistrzu — rzekła — wiedz, że w przyszłą niedzielę odczytuję najpiękniejsze listy pani Savigné z komentarzami, na korzyść trojga sierot artysty Lacoura, który umarł tej zimy w sposób tak straszny.

— Czy miał talent? — spytał Konstantyn Marc.

— Ani trochę — odparła Nanteuil

— A więc dlaczego śmierć jego jest tak straszna?

— O! mistrzu — westchnęła pani Doulce — nie przybieraj pozy nieczułości.

— Wcale nie myślę pozować. Ale dziwi mnie bardzo rzecz jedna, dlaczego taką wartość przywiązujemy do istnień nic nas nieobchodzących. Wyglądamy, jak gdybyśmy wierzyli, że życie samo w sobie jest czemś szacownem. A jednak natura poucza nas, że nie ma nic nędzniejszego, więcej pogardy godnego. Dawniej mniej się uczuwało sentymentalizmu. Każdy cenił nadzwyczajnie własne swe życie, ale dla cudzej egzystencji nie zdradzał najmniejszego szacunku. Żyliśmy wówczas więcej do natury zbliżeni; przeznaczeniem naszym zjadać się wzajemnie. Ale nasza rasa słaba, znerwowana, fałszywa, gustuje w podstępny kanibalizmie. Pożerając się wzajemnie, głosimy, że życie jest świętością i nie ośmielamy się wyznać, że życie to mord.

— Życie to mord—powtórzył zamyślony Chevalier.

Nagle wyrzucać zaczął pojęcia niejasne.

— Mord i grabież, może! Ale grabież zabawna, śmieszny mord. Życie to krotocwilna katastrofa, to straszny komizm, to maska karnawału na krwawych policzkach. Oto czem jest życie dla artysty; artysta w teatrze i artysta w akcji!

Zaniepokojona Nanteuil usiłowała pochwycić myśl tych słów niejasnych.

Uniesiony aktor ciągnął dalej:

— Życie, to jeszcze coś więcej: to kwiat i nóż, dziś widzi się czerwono, jutro niebiesko, to nienawiść i miłość, nienawiść rozkoszna, zachwycająca, miłość okrutna.

— Panie Chevalier — spytał Konstanty Marc najspokojniejszym tonem— czy nie uważasz pan za rzecz naturalną być mordercą, i czy nie wierzysz pan, że tylko obawa, by nie być zabitym, wstrzymuje nas od zabijania?

Chevalier odpowiedział głosem głębokim, rozważnym:

— Z pewnością, nie! To nie obawa o własne życie wstrzymałoby mnie od mordu. Ja się śmierci nie boję. Ale mam szacunek dla cudzego życia. Mam uczucia ludzkie, poważnie zastanowiłem się nad kwestyą, którą pan postawił panie Marc. Rozmyślałem nad tem dnie całe i noce, i wiem teraz, że nie mógłbym zabić nikogo.

Wówczas uradowana Nanteuil obrzuciła go pogardliwem spojrzeniem. Nie bała go się już i nie mogła mu darować, że w niej strach wzbu-  
dził.

Wstała.

— Dobranoc, głowa mnie boli... Do jutra, panie Constantin Marc.

I szybko wyszła.

Chevalier pogonił za nią na korytarz, zbiegł



przed nią schodami wiodącemi ze sceny i złapał ją przy wyjściu.

— Felicyo, zjemy razem objad w restauracyi. Taką mi to przyjemność zrobi! Chcesz?

— O! ani myślę.

— Dlaczego nie chcesz?

— Daj mi pokój, nudzisz mnie.

Chciała uciec. Zatrzymał ją.

— Ja cię tak kocham! nie męcz mnie zbyt.

Zbliżyła się do niego, wargi podniosła i przez zaciśnięte zęby syknęła mu do ucha:

— Wszystko skończone! skończone! skończone! słyszysz? Mam cię powyżej uszu.

Wówczas bardzo słodko, bardzo poważnie rzekł:

— Po raz ostatni rozmawiamy z sobą. Słuchaj Felicyo, zanim przyjdzie nieszczęście, muszę cię ostrzedz. Nie mogę cię zmusić, byś mnie kochała, ale nie chcę byś kochała innego.

Po raz ostatni radzę ci nie widzieć więcej pana de Ligny. Nie pozwolę ci oddać mu się.

— Nie pozwolisz, ty? Biedny przyjacielu!

Jeszcze łagodniej powiedział:

— Chcę tak i zrobić. Wszystko otrzymać można, czego się pragnie, należy tylko cenę postawić.

## V

Wróciwszy do domu, Felicya dostała serdecznego płaczu. Widziała wciąż Chevaliera, błagającego ją głosem płaczliwym, z miną żebraka. Słyszała taki głos, widziała taki wyraz u włóczęgów, leżących z wyczerpania na ziemi, gdy matka, bojąc się o jej płuca, zawiozła ją na całą zimę do Antibes, do bogatej ciotki. Pogardzała Chevalierem za

jego słodycz i spokój. Ale wspomnienie tej twarzy, tego głosu, przykrość jej sprawiało. Nie mogła nic jeść. Dusila się. Wieczorem taki ból targnął jej wnętrznościami, iż lękała się umrzeć. Sądziła, że tak jest zdenerwowaną dlatego, że dwa dni już nie widziała Roberta. Biła dziewiąta. Miała nadzieję, że go znajdzie jeszcze w domu i włożyła kapelusz.

— Mamo, muszę dziś być w teatrze. Zmykam.

Przez wzgląd na matkę, używała tej mowy niejasnej.

— Idź, moje dziecko, a nie wracaj zbyt późno.

Ligny mieszkał u rodziców. Pod strychem ładnego hotelu przy ulicy Vernet miał małe kawalerskie mieszkanie, oświetlone okrągłymi oknami.

Felicja posłała do niego szwajcara z oznajmieniem, że ktoś go oczekuje w powozie. Ligny nie lubił gdy go kobiety najeżdżały w domu rodzicielskim.

Ojciec jego, dyplomata, bardzo zajęty zewnętrznymi sprawami Francji, pozostawał w najzupełniejszej nieświadomości tego, co się u niego działo. Ale pani de Ligny stała na straży konwenansów światowych. Syn usiłował zadawałniać te wymagania odnoszące się do formy, nigdy nie wglądające głębiej.

Zostawiała mu najzupełniejszą w jego miłostkach swobodę, czasami tylko w chwilach poważnych wynurzeń dawała mu do zrozumienia, że bywanie u kobiet światowych pożytecznem jest dla młodych ludzi. Dlatego też Robert nie pozwalał Felicji przyjeżdżać na ulicę Vernet. Najął przy bulwarze Villiers mały domek, gdzie widywać się mogli swobodnie.

Ale tym razem, nie widząc jej przez dwa dni,

bardzo był kontent z tej niespodziewanej wizyty i zszedł natychmiast.

Przytuleni do siebie, jechali wśród mroku i padającego śniegu przez ulice i bulwary, kryjąc miłość swą w cieniach nocy!

Odwiózł ją do domu i rzekł:

— Do jutra.

— Tak, do jutra, bulwar de Villiers. Przyjdź wcześniej.

Oparła się na nim, wysiadając z powozu. Nagle rzuciła się w tył:

— Tam! tam! między drzewami..... Widział nas... Szpiegował nas.

— Kto taki?

— Człowiek... którego nie znam.

Poznała Chevaliera.

Wysiadła z powozu; zadzwoniła i drżąca czekała, zanurzona w futrze Roberta, by drzwi otworzono. Zatrzymała go jeszcze.

— Robercie, chodź ze mną. Boję się.

Z odrobiną zniecierpliwienia poszedł za nią na górę, Chevalier czekał na nią w małym jadalnym pokoju, w towarzystwie pani Nanteuil, do pierwszej po północy. Następnie czekał na nią na chodniku, a gdy dorożka zatrzymała się przed domem, skrył się za drzewem. Wiedział dobrze, że powróci z Lignym; ale gdy ujrzał ich razem, zdawało mu się, że ziemia pod nim się otwiera i by nie upaść, schwycił za pień drzewa! Pozostał aż do wyjścia Roberta; widział, jak otulony w futro wsiadał do powozu, postąpił parę kroków, by się rzucić na niego, lecz wstrzymał się i wielkimi krokami puścił się wzdłuż bulwaru.

Szedł, gnany wichrem i deszczem. Gorąco mu było, więc zdjął kapelusz i z przyjemnością czuł zimne krople deszczu na czole. Miał jakąś niejasną

świadomość, że domy, drzewa, mury przechodzą obok niego; szedł i myślał.

Znalazł się, nie wiedząc jakim sposobem, na moście, mało sobie znanym, na środku którego wznosiła się olbrzymia statua kobiety. Teraz już był spokojny, powziął postanowienie. Był to pomysł dawny, który tym razem wbił sobie w głowę jak gwóźdź nawskroś przebijający. Nie zastanawiał się nad nim nawet. Na zimno rozmyślał o środkach wykonania tego, na co się zdecydował. Szedł przed siebie, zaabsorbowany, zamyślony, spokojny.

Na moście Sztuki spostrzegł, że idzie za nim jakiś pies. Z prostego gatunku, o długim włosiu, miał oczy szklane, pełne słodyczy, wyrażające rozpacz bezdenną. Przemówił do niego:

— Nie masz obroży. Nie jesteś szczęśliwym. Biedny przyjacielu, nic dla ciebie uczynić nie mogę.

O czwartej zrana znalazł się w alei Obserwatoryum. Widząc domy bulwaru Saint-Michel, doznał bolesnego wrażenia i nagle zawrócił do obserwatoryum. Pies znikł. Przy „Lwie z Belfortu” Chevalier zatrzymał się na przecięciu nowej ulicy. Pod górą nawiezionej ziemi, na czterech słupach rozpięte płótno służyło za schronienie dla starca, który tu czuwał przy ognisku. Uszy jego króliczej czapki były opuszczone, olbrzymi nos gorzał. Podniósł głowę; płaczące jego oczy zupełnie białemi się wydawały, bez źrenic, w pierścieniu ognia i łez. Pakował do fajki szczyptę tytoniu, pomieszaną z miękiszem chleba, ale to wszystko do połowy nie zapełniało małej fajeczki.

— Chcesz tytoniu, stary? — spytał Chevalier, podając mu swój kapciuch.

Człowiek ociągał się z odpowiedzią. Nie prędko kombinował, a grzeczności dziwiły go.

Nareszcie otworzył zupełnie czarne usta.

— Tego się nie odmawia — rzekł.

Podniósł się nawpół. Na jednej nodze miał trzewik, druga owiązana była płótnem. Powoli zgrabiałemi rękami napychał fajkę. Padał wilgotny śnieg.

— Pozwolisz? — pytał Chevalier.

I wsunął się pod płótno. Od czasu do czasu zamieniali jakieś słowo.

— Obrzydliwyczas!

— Jak zwykle w tej porze. Zima ciężka. Lato przyjemniejsze.

— Pilnujesz więc drogi w nocy, mój pocziwczu?

Stary chętnie odpowiadał na pytania. Zanim mówić zaczął, w gardle jego gulgotało długo i łagodnie.

— Dziś robię to, jutro tamto. Ot co!

— Nie z Paryża jesteś?

— Jestem rodem z Creuse. Pracowałem jakiś czas w Wogezach. Wyszedłem ztamtąd gdy naszło tam mnóstwo Prusaków i innych ludów... Tysiące ich było. Nie można zrozumieć, zkad się ich tyle wzięło... Może słyszałeś o tej wojnie z Prusakami, mój chłopczu?

Długi czas milczał, nareszcie spytał:

— I włóczysz się tak, mój chłopczu, nie chcesz do domu wracać?

— Jestem artystą dramatycznym — odparł Chevalier.

Stary nie rozumiał i spytał:

— Gdzie jest twój dom?

Chevalier zapragnął być podziwianym przez starca:

— Gram komedye w wielkim teatrze—rzekł;— jestem jednym z głównych aktorów w Odeonie. Znaćcie Odeon?

Starzec zaprzeczył głową. Nie znał Odeonu. Po długiem milczeniu otworzył znów czarne usta:

— A więc, mój chłopcze, włóczyz się. Nie chcesz wracać do domu, prawda?

Chevalier odparł:

— Przeczytaj gazetę pojutrze. Znajdziesz tam moje nazwisko.

Starzec usiłował znaleźć sens w tych słowach; ale było to zbyt trudno, więc wrócił do zwykłych swych myśli.

— Gdy się puści na włóczęgę, to często na tygodnie, miesiące...

O świcie Chevalier rozpoczął nanowo swą wędrówkę.

Niebo było mleczone. Ciężkie koła huczały o bruk. W świeżem powietrzu rozlegały się to tu, to tam głosy. Śnieg już nie padał. Szedł, gdzie go oczy niosły. Widząc budzące się życie, poweselał. Na moście Sztuki długo patrzył na płynącą Sekwanę, poczem poszedł dalej. Na placu Havre ujrzał otwartą kawiarnię. Białe światło jutrzeńki różowiło szyby frontowe. Chłopcy piaskiem posypywali podłogę i ustawiali stoły.

Rzucił się na krzesło.

— Chłopcze, zielonej!

## VI.

Już za fortyfikacyami, w dorożce, Felicya i Robert tulili się do siebie.

-- Nie kochasz swej Felicyi, powiedz? Czy to ci nie pochlebia, że posiadasz kobietę, którą wielbią, oklaskują, o której piszą w gazetach?.. Mama wkleja do albumu artykuły, mnie się dotyczące. Album już pełen.

Robert odparł jej, że nie czekał na jej powodzenie, by spostrzedz, że jest uroczą. I rzeczywiście stosunek ich rozpoczął się, gdy nieznaną debiutowała w Odeonie.

— Gdy powiedziałaś, że mnie pragniesz, nie kazałem ci długo czekać, co? Rzecz odrazu została załatwiona. Prawda, że dobrze zrobiłam? Jesteś zbyt inteligentnym, by źle o mnie myśleć, dlatego, że się z tem nie ociagałam. Widząc cię po raz pierwszy, czułam, że będę twoją. Nie warto więc było czekać. Nie żałuję tego. A ty?

Dorożka zatrzymała się przed ogrodowem ogrodzeniem. Krata, dawno niemalowana, wspierała się na murze dość szerokim i niskim, by dzieci mogły na nim siadać. W połowie wysokości znajdowała się blacha żelazna, a zardzewiałe kraty wznosiły się najwyżej na trzy metry od ziemi. Po środku, pomiędzy dwoma murowanemi słupami kraty ta miała szerokie drzwi.

Wysiedli z powozu. Drzewa bulwaru wznosiły w mroku swe lekkie sylwetki. W ciszy rozlegał się stuk wracającej do Paryża ich dorożki i odgłos kopyt końskich.

Drżąc, Felicja zawołała.

— Jakże smutna jest wieś!

-- Ależ droga moja, bulwar Villiers, to nie wieś!

Nie mógł otworzyć kraty, zamek zgrzytał.

Zdenerwowana rzekła:

— Otwórz raz, proszę cię; ten zgrzyt działa mi na nerwy.

Spostrzegła, że dorożka, nadjeżdżająca od strony Paryża, zatrzymała się przed domem; o jakie dziesięć kroków spojrzała na chudego, pianą okrytego konia, na furmana biednie wyglądającego i spytała:

— Co to za wehikul?

— Dorożka.

— Dlaczego się tu zatrzymała?

— Zatrzymała się nie tu, a przed domem sąsiednim.

— Nie ma tam domu, tylko plac.

— No, więc zatrzymała się przed placem, cóż ci mam więcej powiedzieć?

— Nikt nie wysiada.

— Może dorożkarz przyjechał po kogo?

— Na pusty plac?

— Zapewne, moja droga... ten zamek zardzewiał.

Kryjąc się za drzewa, podeszła do miejsca, gdzie stała dorożka i wróciła do Ligny'ego, który nareszcie otworzył drzwi.

— Robercie, firanki zapuszczone.

— Siedzi tam widocznie para kochanków.

— Czy nie znajdujesz, że ta dorożka jest dziwną?

— Nie jest piękną, ale wszystkie dorożki są brzydkie.

— Może to nas kto szpieguje?

— A kóżby taki?

— Nie wiem... jedna z twoich kobiet.

Nie mówiła tego, co myślała.

— Chodź, chodź - zawołał.

Gdy weszli, powiedziała:

— Zamknij dobrze drzwi, Robercie.

Przed nimi roztaczał się owalny gazon. W głębi wznosił się dom z trzystopniowym gankiem, cynkową markizą i dachem z łupku.

Ligny najął ten domek na rok od jakiegoś kupca, zniechęconego do tej posiadłości, z powodu, że w nocy wykradano mu kury i króliki. Po obu stronach gazonu żwirowana aleja prowadziła do ganku. Szli prawą stroną, piasek chrząszczał pod ich nogami.

— Znowu pani Simonneau zapomniała zamknąć okiennice—rzekł Ligny.

Pani Simonneau, była to kobieta z Neuilly, przychodząca codzień robić porządku.

Wielkie drzewo, zupełnie pochylone, jakby



martwe, wyciągało aż do markizy jedną ze swych czarnych, krągłych gałęzi.

— Nie lubię tego drzewa—rzekła Felicya—te gałęzie wyglądają jak węże. Jedna włazi prawie do naszego pokoju.

Weszli na ganek, a gdy on szukał klucza, Felicya złożyła mu głowę na ramieniu.

Felicya w swem obnażaniu się miała spokojną dumę, czyniącą ją uroczą. Z taką prostotą i naturalnością zrzuciła z siebie ubranie, że koszula, leżąc u jej stóp, zdawała się być białym pawiem.

Robert widząc to, zawołał:

— Ty przynajmniej nie dajesz się prosić!... Są kobiety, które kryją się ze wszystkim.

— Dlaczego?—spytała Felicya, bawiąc się miękkimi promieniami włosów.

Robert de Ligny znał kobiety, nie odczuł jednak, ile podstępnie mieściło się w tem pytaniu. Otrzymał moralne wychowanie i w odpowiedzi swej zdradził się z teoryjami, zaczerpniętymi z nauk profesorów.

— Zapewne --mówił—wynika to z wychowania, zasad religijnych, wrodzonych uczuć, istniejących nawet wtedy...

Nie tak należało odpowiedzieć, gdyż Felicya, wzruszając ramionami i opierając ręce na gładkich biodrach, przerwała mu gwałtownie:

— Naiwnym jesteś ty... Wychowanie! Pienię się, słysząc takie rzeczy... Czy byłam gorzej od innych wychowaną? Powiedz, Robertcie, ile widziałeś kobiet dobrze zbudowanych? Policz na palcach... Tak, mnóstwo kobiet nie pokazuje ani ramion, ani nic! Weź Fagette, ona nawet kobietom nie pokazuje się: Rozumie się, że jabym tak samo robiła, gdybym tak była zbudowaną, jak ona!

Umilkła, uspokoiła się i pewna w swej dumie, powoli przesunęła swe dłonie po ciele i rzekła:  
— A co jest najlepszego, że nigdzie nie za wiele.

Wiedziała, ile uroku jej piękności dodaje wytworna szczupłość kształtów.

Odchylona jej głowa tonęła w jasnej kaskadzie włosów; urocze ciało leżało bez ruchu. Światło wielkiego ognia zapalonego na kominku złociło to ciało, wywoływało drżące światła i cienie na niem, stroiło je we wspaniałość i tajemniczość, a leżące na meblach i dywanie ubranie oczekiwać się zdawały jak posłuszne stadko.

Ujęła w swe dłonie głowę jego.

— Prawda, że masz zęby wilka. Zdaje mi się, że te właśnie zęby wzbudziły we mnie miłość w pierwszej chwili.

Przycisnął ją do siebie i odczuł wzajemność w tem ciele giętkim a silnem. Nagle wyrwała się z jego uścisku.

— Czy nie słyszysz chrzęstu piasku?

— Nie.

— Słuchaj; słyszę czyjeś kroki w alei.

Usiadła, skurczyła się, nasłuchując.

On czuł się zawiedzionym, zirytowanym, może trochę dotkniętym w miłości własnej.

— Co tobie jest? To niedorzeczne.

Krzyknęła na niego ostro:

— Cicho bądź!

Słyszała lekki szelest, jakby łamanie gałęzi.

Nagle skoczyła z żywością i szybkością młodego zwierzątka. Ligny, chociaż mało poetyczny, pomyślał o kotce przemienionej w kobietę.

— Zwaryowałaś? dokąd idziesz?

Ona podniosła brzeg franki, wytarła kawałek szyby z pary i wyjrzała. Nie widziała nic w ciemności. Cicho było zupełnie.

Przez ten czas Ligny mruczał z niezadowoleniem:

— Jak sobie chcesz, ale jeżeli się zakatarzysz, tem gorzej dla ciebie!

Zapalił lampę naftową w kształcie kolumny z kryształowym rezerwoarem, w którym knot wił się w kształt węża. Ubrała się szybko. Musieli zejść na dół drewnianymi schodami, wązkiemi i czarnemi. Wyszedł pierwszy, trzymając lampę w ręku i zatrzymał się na korytarzu.

— Wyjdź najdroższa, zanim zgaszę lampę.

Otworzyła drzwi i natychmiast cofnęła się, krzyknąwszy głośno. Ujrzała Chevaliera na ganku, stojącego z rękami rozkrzyżowanemi. Trzymał rewolwer w ręku. Broń nie błyszczała, a jednak widziała ją wyraźnie.

— Co takiego? — spytał Ligny, zniżając knot w lampie.

— Słuchajcie i nie zbliżajcie się! — krzyknął Chevalier wielkim głosem. — Zabraniam wam należeć do siebie. To moja ostatnia wola. Żegnam cię, Felicyo!

Włożył do ust lufę rewolweru.

Wsparta o ścianę korytarza, zamknęła oczy... Gdy je otworzyła, Chevalier leżał na boku i zagradzał drzwi. Miał szeroko otwarte oczy, zdawał się patrzeć i śmiać, struga krwi płynęła z ust na kamienne płyty ganku.

Konwulsyjnie drgało ramię jego. Po chwili zamarł. Na huk rewolweru przybiegł Ligny. Podniósł ciało w ciemności i natychmiast złożył je napowrót na kamieniach, zapalać zaczął zapalki, które wiatr gasił nieustannie. Nakoniec przy słabym błysku dojrzał, że kula wyrwała kawał czaszki i że mózg został obnażony na przestrzeni tak wielkiej, jak dłoń, zarysy tej krwawej, szarej substancji przypomniały mu Afrykę, rysowaną na atlasach.

Widok tego trupa wzbudzał w nim szacunek. Z ogromną ostrożnością wciągnął go za ramiona do przedpokoju. Tam go zostawił i latał po domu, szukając i wołając Felicyi.

Znalazł ją w sypialnym pokoju, wsunęła głowę pod prześcieradło, modliła się i wołała:

„Mamo! mamó!”

— Chodź, Felicyo!—rzekł.

Zeszła z nim po schodach. W korytarzu zawołała:

— Wiesz dobrze, że przejść nie można.

Przeprowadził ją przez drzwi kuchenne.

## VII.

Pozostawszy sam w milczącym domu, Robert de Ligny zapalił lampę. Słyszał jakieś poważne, uroczyste głosy, przemawiające w nim samym. Wdrożony od dzieciństwa do przepisów moralnej odpowiedzialności, doznawał bolesnego żalu, przypominającego wyrzuty sumienia. Myśląc, że był przyczyną śmierci tego człowieka, chociaż stało się to bez jego woli i wiedzy, czuł się trochę winnym. Reminiscencye nauk religijnych i filozoficznych mąciły sumienie jego. Zdania moralistów i kaznodziei, wyuczone w szkole i zapadłe w głąb pamięci, nagle przychodziły mu na myśl. Głos wewnętrzny powtarzał mu je. Mówił mu zgodnie z jakimś starym, świętym mówcą: „Oddając się rozkoszom, najmniej w opinii świata karygodnym, naraża się człowiek na spełnianie czynów najwstrętniejszych... Ze strasznych przykładów widzimy, że namiętność prowadzi do zbrodni.”

Te sentencye, nad któremi się nigdy nie zastanawiał, przybierały dla niego nagle znaczenie wyraźne i surowe. Poważnie myśleć o tem zaczął. Ale ponieważ nie posiadał umysłu głęboko religij-

nego i nie był zdolnym do żywienia przesadnych skrupułów, nie zbudował się niemi tak dalece i wpływ ich z każdą chwilą się zmniejszał. Wkrótce doszedł do przekonania, że one sensu nie mają i nie mogą być w jego położeniu zastosowane. „Oddając się rozkoszom, najmniej w opinii świata karygodnym... widzimy na strasznych przykładach.” Zdania te, huczące przed chwilą w duszy jego jak grom, teraz dochodziły do jego świadomości w formie nosowych jakai się profesorów i księży, uczących go niegdyś, i znajdował, że są trochę śmieszne. Naturalnem kojarzeniem się pojęć przypomniiał sobie ustęp z historii rzymskiej, który czytał w drugiej klasie w czasie lekcyi; mowa tam była o pewnej damie, złapanej na wiarołomstwie i posądzonej o podpalenie Rzymu.

„Prawdą jest bowiem, mówił historyk, że kto wykracza przeciw skromności, zdolnym jest do wszystkich zbrodni”. Na to wspomnienie uśmiechnął się i pomyślał, że moralisci mają jednak śmieszne o życiu pojęcie.

Kopcząca lampa rzucała słabe światło. Nie umiał sobie z nią poradzić, więc roztaczała wstrętny odór nafty.

Myśląc o autorze zdania o rzymskiej damie, mówił sobie:

— Ten widocznie nie spał na różach!..

Upewnił się co do swej niewinności. Lekkie wyrzuty sumienia zupełnie się rozwiały i nie pojmował, jak mógł nawet przez chwilę przyjmować na siebie odpowiedzialność za śmierć Chevaliera. W każdym razie, cała ta sprawa nudziła go...

Nagle przyszło mu na myśl:

— A jeżeli on żyje jeszcze?!

Przed chwilą, w przeciągu sekundy, przy blasku zapalki widział przedziurawioną czaszkę aktora. A jeżeli źle widział? Jeżeli skaleczenie skóry wydało mu się strzaskaną czaszką?

Czyż można zachować całą przytomność umysłu w chwilach tak strasznych i niespodziewanych? Rana może być straszna, nie będąc ani śmiertelną, ani nawet bardzo niebezpieczną. Zdawało mu się, że ten człowiek nie żyje. Ale wszak nie jest doktorem, by móżdż o tem sądzić?

Zniecierpliwiał się, patrząc na kopcającą lampę i szepnął:

— Ta lampa powietrze zatrzuwa.

A przypomniawszy sobie zwykłe wyrażenie doktora Sokratesa, powtórzył w myśli:

— Ta lampa cuchnie, jak trzydzieści sześć tysięcy wozów dyabelskich.

Przychodziły mu na myśl rozmaite nieudane samobójstwa. Przypomniął sobie historję czytana w gazetach, że pewien mąż, po zabiciu żony, wystrzelił jak Chevalier w usta i roztrzaskał sobie tylko szczękę; przypomniął sobie, że w klubie po jakimś skandalu gry, znany sportsmen, chcąc sobie czaszkę roztrzaskać, oderwał tylko ucho. Te przykłady mogły być zastosowane do Chevaliera ze ścisłością uderzającą.

— A jeżeli nie umarł?..

Pragnął, ludził się, że ten nieszczęśliwy odycha jeszcze i może być ocalonym. Chciał szukać płótna, by zrobić pierwszą przewiązkę. Aby znów obejrzeć człowieka leżącego w przedpokoju, zbyt gwałtownie podniósł lampę i ona zgasła.

Wówczas w tych nagłych ciemnościach stracił cierpliwość i krzyknął:

— Podła!

Zapalając znów lampę, wystawiał sobie, że Chevalier, odniesiony do szpitala, wróci do przytomności i żyć będzie. Widział go już stojącego na długich nogach, krzyczącego, kaszlącego, szydzącego i wówczas mniej gorąco pragnął tego wyzdrowienia, zdawało mu się ono niepotrzebne, niemile.

Zupełnie zgębiony, zadawał sobie niepokojące pytanie:

— Co on robić będzie na świecie, ten ponury aktor? Czy wróci do Odeonu? Czy świecić będzie za kulisami swą wielką blizną? Czy jeszcze krążyć będzie koło Felicji?

Z lampą w ręku pochylił się nad ciałem i ujrzał otwartą, krwawiącą się ranę, której nierówne kontury przypomniały mu szkolne mapy Afryki.

Widocznie śmierć była natychmiastową i nie rozumiał jak mógł wątpić choć przez chwilę.

Wyszedł z domu i wielkimi krokami przebiegał ogród. Widok rany miał ciągle przed oczami, odczuwał wrażenie, jakby zbyt silnego światła. Rośła mu w oczach, na tle czarnego nieba tworzyła jasną plamę, z której wyskakiwali mali murzynkowie, uzbrojeni w strzały.

Przyszło mu na myśl, że przedewszystkiem trzeba zawołać panią Simonneau, mieszkającą w pobliżu na bulwarze Bineau, w domu, gdzie była kawiarnia. Zamknął starannie drzwi kraty i udał się na poszukiwanie gospodyni. Na bulwarze odzyskał zupełny spokój. Oswoił się z wypadkiem. Zgadzał się z faktem dokonany, wymawiał tylko losowi okoliczności tegoż. Jeżeli miał być trup konieczny, niechże będzie, ale wołałby innego. Względem tego doznawał uczuć wstrętu i odrazy. Niejasno rozumował.

— Rozumiem samobójstwo. Ale pocóż samobójstwo śmieszne i wrzaskliwe? Czyż ten człowiek nie mógł się zabić u siebie. Czyż nie mógł, gdy raz powziął niewzruszone postanowienie, spełnić go z prawdziwą dumą, w sposób dyskretny? Takby postąpił na jego miejscu człowiek dobrze wychowany. Żałowanoby i szanowano jego pamięć.

Przypomniawszy sobie każde słowo, zamienione

z Felicją w pokoju sypialnym, na godzinę przed dramatem.

Pytał się jej, czy nie żyła czas jakiś z Chevalierem. Pytał się, nie żeby się dowiedzieć, gdyż nie wątpił o tem, ale żeby pokazać, że wie. A ona odparła z oburzeniem:

— On? O! nie... Nie chciałbyś!..

Nie miał jej za złe tego kłamstwa. Wszystkie kobiety kłamią. Podobała mu się nawet ta swoboda, z jaką wyrzuciła tego chłopca ze swej przeszłości. Ale nie mógł darować, że się oddała marnemu aktorzyńce. Delikatne jego odczucia były tem dotknięte. Chevalier psuł mu Felicję. Dlaczego brała kochanków tego rodzaju? Czy nie miała gustu? Nie przebierała? Postępowała, jak dziewczyna z ulicy? Nie miała więc poczucia tej pewnej czystości, ostrzegającej kobiety, co można, a czego nie można robić? Nie umiała zachować przyzwoitości! Otóż taki tego skutek!

Na nią rzucił odpowiedzialność za to, co się stało, i poczuł się oswobodzonym od wielkiego ciężaru.

Pani Simmoneau nie zastał w domu. Rozpytywał chłopców w kawiarni, w sklepiku, zaszedł do praczkarni, pytał stójkowego, listonosza. Nareszcie jedna z sąsiadek wskazała mu dom, dokąd się pani Simmoneau udała i znalazł ją u jakiejś chorej, której kładła kataplazmy. Twarz miała purpurową i wódka biła z niej jak z kufy. Kazał jej pójść pilnować trupa. Przykazał, by go przecieradłem okryła i była gotową na przyjęcie komisarza policyi i doktora, którzy pewno się zjawią dla skonstatowania śmierci. Odpowiedziała trochę dotknięta, że dzięki Bogu wie, co czynić należy.

Tak było w istocie. Pani Simmoneau urodziła się w społeczeństwie, ulegającym władzom ukonstytuowanym, szanującym zmarłych. Ale gdy rozpy-



tując pana de Ligny, dowiedziała się, że pociągnął trupa do przedpokoju, nie mogła skryć się z tem, że podobny sposób postępowania jest nierozważny i może go narazić na przykrości.

— Nie powinienes pan był tego robić—rzekła.— Gdy kto życie sobie odebrał, nie można go ruszać, zanim policya nie zejdzie.

Następnie Ligny poszedł uprzedzić komisarza policyi.

Gdy przeszło pierwsze wrażenie, nie odczuwał żadnego zdziwienia, zapewne dlatego, że wypadki, zdawała wydające się nadzwyczajnemi, gdy zdarzają się przy nas, wydają się naturalnemi, jakimi są w rzeczywistości, rozwijają się w sposób zwykły, rozpadają się na szereg małych wypadków i giną w banalności codziennego życia. Wyprowadziła go z równowagi gwałtowna śmierć nieszczęśliwego, głównie okoliczności tej śmierci i zajęcia, do jakiego ona go zmusiła. Idąc do komisarza, czuł się tak swobodnym i spokojnym, jak idąc do ministryum dla przejrzenia depeesz.

O dziewiątej wieczorem komisarz policyi wszedł do ogrodu w towarzystwie swego sekretarza i agenta policyjnego. Lekarz miejski, pan Hilary, przybył w tej samej chwili.

Dzięki staraniom pani Simmoneau, dom cały przepełniony był silnym odorem fenolu i błyszczał od zapalonych świec. Pani Simmoneau robiła co mogła, by dostarczyć zmarłemu krucyfiks i poświęconą gałązkę jedlinki. Przy blasku świecy doktor oglądał trupa.

Był to tęgi, o ciężkim oddechu i czerwonej twarzy mężczyzna.

— Kula wielkiego kalibru—mówił—przeszła przez podniebienie, mózg, rozstrzaskała lewą skroń i wraz z częścią substancyi mózgowej wyrwała kawał czaszki. Śmierć była natychmiastową.

Oddał świecę pani Simmoneau i ciągnął dalej:  
 — Kawalki czaszki odrzucone zostały na pewną odległość. Można je znaleźć w ogrodzie. Przypuszczam, że kula była okrągła. Podłużna wyrządziła by mniejsze spustoszenia.

Tymczasem komisarz, pan Josse-Orbrissel, wysoki i chudy, o długich siwych wąsach, zdawał się nie słyszeć, nie widzieć. Pies wył przed ogrodzeniem.

— Kierunek rany—mówił doktor—jak również zgięte jeszcze palce prawej ręki świadczą dowodnie o samobójstwie.

Zapalił cygaro.

— Jesteśmy dostatecznie przekonani — rzekł komisarz.

— Przykro mi, że panów niepokoiłem—rzekł Robert de Ligny—i dziękuję panom za uprzejmość, z jaką spełniliście swe zadanie.

Sekretarz komisaryatu i agent policyjny, przeprowadzeni przez panią Simmoneau, zanieśli trupa na pierwsze piętro.

Pan Josse-Orbrissel obgryzał sobie paznokcie i patrzył w przestrzeń.

— Dramat zazdrości — rzekł — rzecz najzwyczajniejsza. Mamy tu w Neuilly stałą cyfrę przecięciową dobrowolnych śmierci. Na sto samobójstw trzydzieści jest skutkiem gry. Reszta wypływa z zawiedzionych miłości, nędzy, lub nieuleczalnych chorób.

— Chevalier? — spytał doktor Hibry, amator teatru. — Chevalier? poczekajcie, widziałem go... widziałem go na jakimś benefisie w Rozmaitościach. Ależ tak. Wypowiadał jakiś monolog.

Pies wył przy furcie.

— Nie można mieć pojęcia — ciągnął dalej komisarz — jakie spustoszenie szerzy w tej gminie zamiłowanie do loteryi. Nie przesadzam, gdy powiem, że trzydzieści na sto samobójstw jest skut-

kiem tego. Wszyscy tu grają. Ilu fryzyerów, tyle agencji tajemnych. Nie dalej, jak w przeszłym tygodniu, stróż z ulicy Roule powiesił się w lasku. Rzemieślnicy, służący, mali urzędnicy, grając, nie dochodzą do samobójstwa. Zmieniają bowiem miejsce zamieszkania, znikają. Ale człowiek z pozycją, gdy go gra zrujnuje, długi przycisną, a skargi do sądu wiszą mu nad głową, zniknąć nie może, więc cóż ma z sobą robić?

— Wiem — krzyknął doktor. — Deklamował »Pojedynek w Sawannie«! Przeżyły się już monologi, ale ten jest ogromnie śmieszny. Pamiętacie panowie:

— Chcesz bić się na szpady?—Nie, panie.— Na piolety? — Nie, panie. — Na szable, na noże? — Nie, panie.—A rozumiem, czego pan chcesz. Chcesz pojedynku w sawanie.\*)

— Zgadzam się. Tylko zastąpimy Sawanę, pięciopiętrowym domem. Możesz pan skryć się w gąszczu liści. Chevalier bardzo pięknie deklamował to. Bardzo mnie zabawił tego wieczoru. Co prawda, jestem dobrą publicznością, przepadam za teatrem.

Komisarz policyi nie słuchał. Ciągnął dalej myśl swoją.

— Pozostanie na zawsze tajemnicą, ile zakłady pochłaniają rocznie fortun i egzystencji. Gra nie wypuszcza ofiar swoich; zabrawszy im wszystko, pozostaje jedyną ich nadzieją. Rzeczywiście, w jakiż inny sposób można mieć nadzieję?..

Umilkł, nasłuchiwał dochodzącego zdala głosu roznosiciela gazet, rzucił się w aleję, w pogo-

---

\*) W Kanadzie tak nazywają lasy drzew żywicznych.

ni za wrzeszczącym chłopcem, zawołał na niego, wyrwał mu gazetę wyścigów, którą rozłożył pod latarnią i wyszukiwać zaczął nazwiska koni. Fleurs-des-pois, la Chatelaine, Sucreec. Następnie upuścił gazetę, ręce mu drżały, oczy błędny przybrały wyraz, był zgnębiony, ogłupiały; Roze jego nie wygrywał.

Doktór Hyrby, patrząc na niego zdaleka, myślał, że jako doktor umarłych, może wkrótce zostanie przywołanym, by stwierdzić samobójstwo komisarza policyi, postanowił sobie z góry, że o ile się to da, pociągnie śmierć tę pod rubrykę śmierci przypadkowych.

Nagle chwycił parasol, wołając:

— Zmykam. Dano mi na dziś wieczór miejsce w Operze Komicznej. Szkodaby to stracić.

Zanim wyszedł z domu, Ligny spytał panią Simmoneau.

— Gdzie go pani położyła?

— W łóżku, to daleko stosowniej.

Nic nie odpowiedział, a podnosząc oczy do góry, ujrzał w oknie sypialnego pokoju, poprzez muślinowe firanki światło dwóch świec, które gospodyni zapaliła na stoliczku przy łóżku.

— Możeby sprowadzić zakonnicę do pilnowania?—rzekł.

— To zbyteczne — odparła pani Simonneau, która sprosiła już sąsiadki i kazała przynieść poczęstunek — ja sama czuwać będę.

Ligny nie nalegał.

Pies wył wciąż u furty.

Idąc piechotą do rogatek, widział nad Paryżem łunę czerwoną, gorejącą na niebie całem. Na tem tle wznoszące się czarne, dziwaczne kominy zdawały się spoglądać ze śmieszną poufałością na ten tajemniczy pożar świata. Nieliczni przecho-

dnie, spotykani na bulwarach, przechodzili spokojnie, nie podnosząc głowy, chociaż wiedział, że często powietrze wilgotne absorbuje światło miastowe i zabarwia się jednym tonem; zdawało mu się, że widzi odblask olbrzymiego pożaru.

Nie rozmyślając, zgadzał się z myślą, że Paryż ginie w jakimś nadzwyczajnym kataklizmie; wydawało mu się zupełnie naturalnem, że katastrofa, w którą został wmieszany, zlewa się z ogólną klęską i że ta noc, tak dla niego, tak i dla całego świata—jest nocą straszną.

Będąc bardzo głodnym, wziął dorożkę przy rogatkach i kazał się zawieźć do knajpy przy ulicy Royale. W gorącej, jasnej sali doznał uczucia dobrobytu. Kazał podać jedzenie i przeglądając gazetę wieczorną, dowiedział się ze sprawozdań izby, że minister jego wypowiedział mowę. Czytając ją, tłumił śmiech; przypominał sobie pewne historyjki, opowiadane na „Quai d'Orsay”.

Minister spraw zagranicznych kochał się w pani de Neuilles, starej kokotce, którą opinia publiczna podniosła do kategorii awanturnicy i szpiega. Jak powiadano, jej najpierw wygłaszał mowy, które miał wypowiedzieć w parlamencie. Ligny był niegdyś trochę kochankiem pani de Neuilles i wystawiał sobie męża stanu w koszuli, deklanującego swej przyjaciółce takie słowa:

„Nie, z pewnością nie lekceważę słusznych drażliwości uczucia narodowego. Stanowczo pokojowy, ale dbały o honor Francyi rząd potrafi i t. d.”

Wizya ta wróciła mu wesołość. Na drugiej stronie czytał:

„Jutro w Odeonie pierwsze przedstawienie „Noc 23 października 1812 r.” z udziałem panów: Durville, Maury, Romilly, Destrée, Vicar, Léon Clim, Valroche, Aman, Chevalier...”

## VIII.

Nazajutrz, o godzinie 1-ej, w foyér teatralnem powtarzano po raz pierwszy „la Grille”. Smutne światła pochłaniały szare kamienie sklepienia trybun i kolumn.

W ponurym majestacie tej bladej architektury, pod statuą Racina, główni aktorowie czytali swe role, których jeszcze nie umieli, przed Pradellem, dyrektorem teatru; Romilly, dyrektor sceny, i Constantin-Marc, autor sztuki, siedzieli na kanapce, czerwonym aksamitem krytej, a na ławeczce, wsuniętej między kolumny, siedziały zazdrosne aktorki nie grające w tej sztuce, szeptać złośliwe, pełne nienawiści uwagi.

Pierwszy kochanek, Paweł Delage, z trudnością odczytywał replikę:

— Poznaję zamek o ścianach ceglanych i dachu łupkowym, park, gdzie tak często na korze drzew łączyłem jej imię z mojem, sadzawkę, której uśpione wody...

Fagette przerwała:

— Czy nie lękasz się Aimeri, że zamek ten nie pozna cię, że park zapomniał, jakim jest imię twoje, że sadzawka szepnie: „Kto jest ten obcy?”

Była zakatarzoną i czytała z kopii pełnej omyłek.

— Nie siedź tam, Fagette; tam stoi, altanka— rzekł Romilly.

— A zkad-że ja mogę wiedzieć?

— Postawiono tam krzesło.

— ...że sadzawka szepnie: „Kto jest ten obcy?”

— Panno Nanteuil, na panią kolej... Gdzie jest Nanteuil? Nanteuil!

Ukazała się Nanteuil otulona w futro, z małym woreczkiem i rolą w ręku. biała jak płótno,

z oczyma podkrążonemi, drżącemi nogami. Przeszła noc okropną. Po zupełnem obudzeniu, widziała zmarłego, jak wchodził do jej pokoju.

Spytała:

— Którędyż wchodzę?

— Z prawej strony.

— Dobrze.

Czytała:

— Kuzynku, obudziłam się dziś tak wesoła. Nie wiem, z jakiej przyczyny. Czy nie możesz mi powiedzieć?

Delage przeczytał replikę:

— To może, Cecylio, przez szczególne dopuszczenie Opatrzności lub przeznaczenie. Bóg, kochający cię, pozostawia ci uśmiech w godzinie łez i zgrzytania zębów.

— Nanteuil, przechodzisz, kotko — rzekł Romilly.

— Delage, usuń się, ażeby ona przejść mogła. Nanteuil przeszła.

— Dnie straszne, mówisz Aimeri? Dnie są takie, jakimi je uczynimy. Straszne są one tylko dla złych.

Romilly przerwał:

— Delage, usuń się, uważaj, abyś jej nie zakrywał przed publicznością... Powtórz, Nanteuil...

Nanteuil powtórzyła:

— Dnie straszne, mówisz Aimeri? Dnie są takie, jakimi je uczynimy. Straszne są one tylko dla złych.

Constantin Marc nie rozpoznawał już dzieła swego, nie słyszał nawet dźwięku swych ukochanych frazesów, które powtarzał sobie tylokrotnie w swych lasach Vivarais. Zdziwiony, ogłupiały milczał.

Nanteuil przeszła zrećznie i zaczęła czytać:

— Nazwiesz mnie może waryatką, Aimeri;

w klasztorze, gdzie się wychowywałam, nieraz za-  
zdrościłam ofiarom.

Delage dał replikę, ale przewrócił dwie kartki  
w kajecie:

— Czas cudowny. Już goście spacerują po  
ogrodzie.

Trzeba było zaczynać nanowo:

— Dnie straszne, mówisz Aimeri...

Czytali dalej, nie usiłując zrozumieć, ale ba-  
czni na swe ruchy, jak gdyby studyowali nowe ta-  
neczne figury.

— W interesie sztuki trzeba będzie poobcinać  
kawałki—rzekł Pradel do zmartwionego autora.

Delage ciągnął dalej:

— Nie obwiniaj mnie, Cecylio; miałem dla  
ciebie dziecięcą przyjaźń, jedną z tych przyjaźni  
braterskich, nadających wywołanej przez nią miłości  
niepokojący pozór kazirodztwa.

— Kazirodztwa!—krzyknął Pradel.— Nie mo-  
żesz zostawić kazirodztwa, panie Constantin - Marc.  
Publiczność ma swoje drażliwości, których pan  
się nawet nie domyślasz. A przy tem trzeba zmie-  
nić porządek dwóch replik następnych. Optyka  
sceny tego wymaga.

Próbe przerwano. Romilly, spostrzegłszy Dur-  
villa, opowiadającego w zagłębieniu okna wesołe dy-  
kteryjki, zawołał:

— Durville, możesz odejść. Dziś „drugiego”  
nie będziemy powtarzali.

Zanim wyszedł, stary aktor poszedł uścisnąć  
rękę Nanteuill. Uważał, że koniecznie należy wy-  
razić jej swe współczucie, więc przybrał łzawy wy-  
raz oczu, jaki ma każdy składający kondolencye.  
Udało mu się to znakomicie. Oczy jego pływały  
w orbitach, jak księżyc w chmurach. Opuszczone  
kąty ust spadały w głębokich fałdach aż do brody.  
Miał minę istotnie zmartwionego.



— Moja biedaczko — westchnął — żal mi cię, doprawdy!... Widzieć istotę, dla której się miało... uczucie... z którą... żyło się blisko... i widzieć ją ginącą... od ciosu tragicznego.. to ciężko... strasznie!...

Wyciągnął do niej ręce ze współczuciem.

Nanteuil, zdenerwowana, ściskając w pięściach chusteczkę i rękopis, odwróciła się i syknęła przez zęby:

— Stary idyota!

Fagette ujęła ją wpół, łagodnie odprowadziła na bok, pod statwę Racina i szepnęła jej do ucha:

— Najdroższa, słuchaj! Trzeba koniecznie tę sprawę zgłuszyć. Mówią tylko o tem. Jeżeli pozwolisz na to, zrobią z ciebie wdowę po Chevalierze na całe życie.

A chcąc się swym stylem popisać, dodała:

— Znam cię, jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Wiem, co jesteś warta. Ale bądź ostrożną, Felicyo: kobiety mają wartość taką, jaką sobie same nadają.

Wszystkie pociśki Fagette trafiły do celu. Nanteuil powstrzymywała łzy, policzki jej pałały. Zbyt młoda, ażeby posiadać, a nawet pragnąć tej rozwagi, właściwej sławnym artystkom, stającym się kobietami światowemi, posiadała wiele miłości własnej, i odkąd kochała, chciała ze swej przeszłości wymazać wszelką pospolitość; czuła, że Chevalier, zabijając się dla niej, postąpił publicznie względem niej z poufałością, narażającą ją na śmieszność.

Nie wiedząc jeszcze, że wszystko się zapomina i ginie w szybkim biegu godzin, że wszystkie nasze czyny płyną, jak woda rzeczna, wśród brzegów pozbawionych pamięci, marzyła smutna i zirytowana u stóp Jana Racina, rozumiejącego jej cierpienie.

— Patrz-że na mnie—rzekła pani Marya-Lau-

ra do młodego Delage.—Ma ochotę płakać. Rozumiem ją. Dla mnie zabił się pewien człowiek. Byłam tem bardzo zmartwioną. On był hrabią.

—Pracujmy dalej — rzekł Pradel...—Panno Nanteuil! proszę dać replikę.

Nanteuil mówiła:

— Kuzynku, obudziłam się dziś rano...

Nagle zjawiła się pani Doulice. Wielka, zboleła, rzuciła te słowa:

— Bardzo smutna nowina. Proboszcz wzbrania mu wstępu do kościoła.

Chevalier nie miał krewnych, oprócz siostry, robotnicy w Pantin, pani Doulice zajęła się pogrzebem na koszt artystów.

Otoczono ją. Ona znów powtórzyła:

— Kościół odpycha go, jak występnego. To straszne!

— Dlaczego? — spytał Romilly.

Pani Doulice odparła cicho, jakby niechętnie.

— Gdyż on się zabił.

— Trzeba to załatwić — rzekł Pradel.

Romilly okazał wielkie zainteresowanie.

— Ksiądz mnie zna — rzekł — to porządny człowiek. Skoczę do Saint-Etienne-du-Mont i dziwiłbym się bardzo, gdyby...

Pani Doulice smutnie kiwała głową.

— Wszystko na próżno.

— Musimy jednak mieć pogrzeb religijny — rzekł Romilly z powagą dyrektora sceny.

— Rozumie się — odparła pani Doulice.

Pani Marya-Laura zirytowana przypuszczała, że można zmusić księży do odprawiania mszy.

— Zachowajmy spokój — rzekł Pradel, gładząc swą szacowną brodę. — Za Ludwika XVIII lud wybił drzwi Św. Rocha, zamknięte dla trumny panny Rancourt. Czasy i okoliczności są inne. Używajmy środków łagodniejszych.

Constantin-Marc, widząc ze smutkiem, że zapomniano o jego sztuce, zbliżył się również do pani Doulice i spytał:

— Dlaczego pani domagasz się, aby Kościół pobłogosławił Chevaliera? Co do mnie, jestem katolikiem. U mnie, to nie wiara, lecz system, i uważam za swój obowiązek przyjmowanie udziału we wszystkich zewnętrznych praktykach kultu. Nie mogę mnie posądzać o faworyzowanie pogrzebów cywilnych. Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego narzucacie proboszczowi z Saint-Étienne - du - Mont, umarłego, którego on przyjąć nie chce?

Dlaczego ten nieszczęsny Chevalier ma iść do kościoła?

— Dlaczego? — powtórzyła pani Doulice — dla zbawienia duszy jego.

— Najprzyzwoiciej byłoby — odparł Constantin Marc — słuchać przepisów Kościoła, który ekskomunikuje samobójców.

— Panie Constantin Marc, czytałeś pan „Wieczory w Neuilly?” — zapytał Pradel, wielki zbieracz książek i amator lektury. — Nie czytałeś pan „Wieczorów w Neuilly” przez M. de Fongeray? A źle pan zrobiłeś. To ciekawa książka, którą jeszcze czasami znaleźć można u antykwarzy. Ozdobiona jest litografią Henryka Monnier, przedstawiającą, nie wiem dla czego, Stendhala w karykaturze. Fongeray jest pseudonimem dwóch liberałów: Dittmera i Caré. Praca ta składa się z komedyi i dramatów, które grane być nie mogą, ale zawierają sceny obyczajowe, niezmiernie interesujące. Dowiesz się pan, jak to za panowania Karola X wikary jednego z kościołów paryzkich ksiądz Mouchaud nie chciał pogrzebać pewnej nabożnej damy, a koniecznie chciał pogrześć ateusza. Pani d’Hautefeuille pobożną była, ale posiadała dobra narodowe. Umarła, asystował jej przy śmierci ksiądz jansenista. I dlatego to,

po śmierci ksiądz Mouchaud nie chciał jej przyjąć do kościoła, gdzie spędziła życie całe

W tymże samym czasie, w tej samej parafii, odebrał sobie życie bogaty bankier, pan Dubourg. W testamencie wyraził żądanie, by go natychmiast zanesiono na cmentarz. „To katolik, pomyślał ksiądz Mouchaud, on do nas należy”. Spakował swoją komżę i stułę, pobiegł do nieboszczyka, dał mu ostatnie pomazanie i zabrał go do swego kościoła.

No więc cóż!—odparł Constantin-Marc — ten wikary był doskonałym politykiem. Ateusze nie są dla Kościoła bardzo groźnymi wrogami. Przeciwnikami Kościoła być nie mogą. Nie wzniosą nowego Kościoła i nie myślą nawet o tem. Przeciwnie, kto nie poddaje się ścisłej dyscyplinie duchownej i zrywa na jakimś punkcie z tradycją, kto przeciwstawia wiarę wiedzy, zdanie praktyka ogólnej praktyce i przyjętemu zdaniu, ten jest sprawcą nieporządków, groźbą zguby i musi być wytępionym. Wikary Mouchaud zrozumiał to. Należało zrobić go biskupem i kardynałem.

Pani Doulice miała talent, że nigdy wszystkiego odrazu nie wypowiedziała i dodała:

— Nie dałam się zbić z tropu oporem proboszcza. Prosiłam, błagałam. Odpowiedział mi; „Poddajmy się z pokorą władzy wyższej. Udaj się pani do arcybiskupstwa. Zrobię wszystko, co jego przewielebność rozkaże”. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak iść za tą radą. Biegnę do arcybiskupstwa.

— Zabierzmy się do pracy—rzekł Pradel.

Romilly zawołał do Nanteuil.

— Nanteuil, dalej, od początku trzeba scenę powtórzyć.

Nanteuil mówiła:

— Kuzynku, zbudziłam się dziś rano tak wesoła....

## IX.

Porozumienie się teatru z Kościołem utrudniał rozgłos, nadany przez gazety samobójstwu przy ulicy de Villiers. Reporterzy opublikowali wszystkie okoliczności i jak mówił ksiądz Mirabelle, drugi wikary arcybiskupstwa, przy obecnym stanie rzeczy otworzyć dla Chevoliera drzwi jego parafii znaczyłoby stwierdzić prawa egskomunikowanych do modlitw Kościoła.

Zresztą, ksiądz Mirabelle, w tym wypadku pełen rozsądku i rozwagi, wskazał drogę wyjścia.

— Rozumie pani dobrze — rzekł do pani Doulice — że opinia gazet dotknąć nas nie może. Jest nam ona najzupełniej obojętna, wcale się tem nie interesujemy, co te pięćdziesiąt świstków mówią o nieszczęsnym młodzieńcu; czy publicyści służyli prawdzie, czy też ją zdradzili, to ich rzecz, a nie moja. Ja nie wiem, i pani również, co oni napisali. Ale samobójstwo faktem pozostaje. Nie może pani temu zaprzeczyć. Należy teraz zbadać zblizka, przy świetle nauki, okoliczności, w jakich fakt ten został dokonany. Niech pani się nie dziwi, że przywołuję na pomoc naukę. Najlepszą jej przyjaciółką jest religia. Otóż nauka medycyny może nam tu być bardzo pomocną. Zaraz to pani zrozumie. Kościół odpycha od swego łona samobójcę wtedy, gdy to samobójstwo jest czynem z rozpaczny wynikającym. Waryaci, odbierający sobie życie, nie są ludźmi zrozpaczonymi i Kościół nie odmawia im swych modlitw: On modli się za wszystkich nieszczęśliwych. O! gdyby to można dowieść, że to biedne dziecko działało pod wpływem gorączki lub choroby umysłowej, gdyby znalazł się doktor, mogący zaświadczyć, że ten nieszczęśliwy nie był zupełna rozumu, gdy własnymi rękami targnął się na życie

wówczas bez żadnych przeszkód mógłby się odbyć pogrzeb religijny.

Usłyszawszy te słowa księdza Mirabelle, pani Doulce pobiegła do teatru. Próba „Grille” była już skończona. Znalazła Pradela w jego gabinecie, rozmawiającego z dwiema aktorkami, jedna prosiła o urlop, druga o posadę. Odmawiał, zgodnie ze swą zasadą, że każdą prośbę należy odrzucić, zanim się ją przyjmie. Najmniejszej więc rzeczy nadawał niezwykle znaczenie.

Błyszczące oczy, patryarchalna broda, sposób obejścia jednocześnie kochanka i ojca, czynił go podobnym do Lota, widywanego na sztychach starych mistrzów w towarzystwie córek. Stojąca na stole amfora ze złoczonego papieru zwiększała jeszcze złudzenie.

— To niemożliwe—mówił jednej i drugiej; to doprawdy niemożliwe, dziecko moje.... Zresztą przyjdź jutro. Odprawił je i spytał, nie przestając podpisywać listów:

— I cóż pani Doulce, jakież nowiny?

Wszedł Constantin-Marc z Nanteuil, wołając pospiesznie:

— A moje dekoracye? Panie Pradel!

Następnie po raz dwudziesty opisał krajobraz, na tle którego miała się odbyć pierwsza scena:

— Na pierwszym planie stary park. Pnie olbrzymich drzew, z północnej strony mchem porośłe. Wilgoć ziemi musi się dawać odczuwać.

Dyrektor odparł:

— Niech pan będzie pewny, że zrobi się wszystko, co jest możliwe, i że wszystko będzie bardzo przyzwoicie.... I cóż pani Doulce, jakież nowiny?

— Jest iskierka nadziei odparła.

— W głębi, w lekkiej mgle — mówił autor — szare kamienie i dachy łupkowe opactwa....

— Doskonale. Niechże pani siada, pani Doulce, słucham panią.

— Zostałam jak najlepiej przyjęta w arcybiskupstwie - rzekła pani Doulce.

— Panie Pradel, mury opactwa muszą być głębokie, ponure, a jednak wysubtelnione mgłą wieczorną. Blado-złote niebo....

— Ksiądz Mirabelle - mówiła pani Doulce - jest księdzem niezmiernie dystyngowanym....

— Panie Marc, bardzo panu chodzi o to niebo blado-złote? - spytał dyrektor. — Cóż dalej, pani Doulce, słucham.

— I wytwornie grzecznym. Zrobił delikatną aluzję o niedyskrecyi gazet....

W tej chwili pan Marchegeay, reżyser, wpadł do gabinetu. Zielone jego oczy błyszczały, czerwone wąsy latały jak płomyki. Mówił szybko:

— Znów się rozpoczyna?... Lidya, ta mała figurantka, wrzeszczy na korytarzach. Opowiada, że Delage chciał ją zbezczęścić. Od miesiąca już dziesiąty raz rozpoczyna tę samą historję. A to piła!

— Na to pozwolić nie można w takim, jak ten domu - rzekł Pradel. — Delage musi zapłacić karę....

— Pani Doulce, proszę mówić dalej.

— Ksiądz Mirabelle wytłomaczył mi niezmiernie jasno, że samobójstwo jest czynem rozpaczliwym.

Constantin Marc z wielkim interesem rozpytywał Pradela, czy ładna jest Lidya, mała figurantka.

— Widziałeś ją pan w „Nocy 23-go Października”, ona przedstawia tam kobietę z ludu, kupującą na placu Grenelle ciasteczka od pani Ravaud.

— Zdaje mi się, że to bardzo piękna dziewczyna - rzekł Constantin Marc.

— Bezwątpienia - odparł Pradel. — Byłaby jeszcze piękniejszą, gdyby nie miała pęcin tak grubych, jak słupy.

Constantin Marc mówił dalej:

— A Delage zbeczczył ją.... Ten człowiek rozumie miłość. Miłość jest aktem prostym, pierwotnym. To walka, nienawiść. Miłość za wspólną zgodą jest tylko nudną pańszczyzną.

Bardzo podniecony, krzyknął:

— Delage jest cudownym!

— Nie unosz się pan — rzekł Pradel. — Ta mała Lidya rozpała moich aktorów w swej garderobie, i nagle krzyczeć zaczyna, jak gdyby ktoś dybał na jej cnotę, a to w celu otrzymania pieniędzy.... To kochanek nauczył ją takich sztuczek i on zbiera plon..... Mówiłaś więc pani, pani Doulice....

— Po długiej i zajmującej rozmowie—mówiła pani Doulice—ksiądz Mirabelle zrobił nadzieję, że sprawa może się załatwić pomyślnie. Dał mi do zrozumienia, że wszelkie przeszkody dadzą się usunąć, jeżeli jaki doktor zaświadczy, że Chevalier nie był zupełnie przytomny, więc nie mógł być odpowiedzialnym za swe czyny.

— Ależ—zauważył Pradel—Chevalier nie był wryyatem. Był zupełnie przytomnym.

— Pocóż mamy to mówić? — odparła pani Doulice.

— Zresztą zkądże pewność?

— Nie — rzekła Nanteuil—on nie był zupełnie przytomny.

Pradel wzruszył ramionami.

— Zresztą, to niemożliwe. Szaleństwo i rozum to jest rzecz zapatrywania... Kogożby to można poprosić o świadectwo?

Pani Doulice i Pradel przypomnieli sobie trzech doktorów; ale nie wiedzieli adresu pierwszego; drugi był charakteru nieprzyjemnego, a przekonano się, że trzeci umarł.

Nanteuil radziła, by się zwrócić do doktora Troubleta.



— Pyszna myśl! — zawołał Pradel. — Prośmy o świadectwo doktora Sokratesa.... Którego dziś mamy?....

— Piątek. To dzień przyjęcia chorych. Znajdziemy go w domu.

Doktor Troublet mieszkał w starej kamienicy, na początku ulicy de Seine. Pradel wziął z sobą Nanteuil, sądząc, że Sokrates nie będzie mógł odmówić ładnej kobiecie. Constantin-Marc, który będąc w Paryżu, bez artystów żyć nie mógł — towarzyszył im. Sprawa Chevaliera zaczynała go bawić. Znajdował, że jest komiczną, to jest należącą do komedyantów. Chociaż godzina przyjęcia już minęła, salon doktora natłoczony był ludźmi, pragnącymi być uzdrowionymi. Troublet odprawił ich, a przyjął w swym gabinecie deputację teatralną. Siedział przed stołem, zarzuconym papierami i książkami. Pod oknem rozsuwany fotel wyglądał chorobliwie cynicznie. Dyrektor Odeonu przedstawił przedmiot ich wizyty i tak zakończył:

— Nabożeństwo żałobne za Chevaliera odbędzie się w kościele tylko wtedy, jeżeli pan zaświadczy, że ten nieszczęśliwy chłopiec nie posiadał w porządku władz umysłowych!

Doktor Troublet oświadczył, że Chevalier doskonale obejść się może bez nabożeństwa żałobnego.

— Adryanna Lecouvreur, więcej od niego warta, obesza się. Panna Monime nie miała mszy po śmierci i jak wiecie, odmówiono jej „honoru, gnicia na brzydkim cmentarzu, ze wszystkimi działami z sąsiedztwa”. Nie gorzej jej się działo wskutek tego.

— Wiesz zapewne, doktorze Sokratesie — odparł Pradel — że aktorowie są najreligijniejsi z ludzi. Moi pensjonarze byliby zrozpaczeni, gdyby nie mogli być na mszy po koledze swoim. Zapewnili

sobie już współudział kilku artystów i muzyka będzie bardzo piękna.

— To racya—rzekł Troublet. — Nie zaprzeczam temu.

— Ale ponieważ arcybiskupstwo nie pozwala tym razem, należałoby to odłożyć do innej okoliczności.

— No więc — zawołał Marc — jeżeli chcesz pan okazać względy Kościołowi, dlaczego narzucasz mu siłą czy postępem trumnę, której on wcale nie chce?

Doktór mówił w tym samym sensie, w końcu rzekł:

— Kochany Pradel, nie zajmuj się tą sprawą.

Ale wówczas Nanteuil z pałającymi oczyma i świszczącym głosem zawołała:

— On musi być wpuszczony do kościoła, doktorze; podpisz świadectwo, że on był waryatem. Ja bardzo o to proszę.

W tem pragnieniu, prócz religii, mieściło się tajemne odczucie i niejasne pierwiastki starych wierzeń, nieznanne jej samej. Ona miała nadzieję, że poniesiony do kościoła, pokropiony święconą wodą, Chevalier uspokoi się, stanie się pocziwym nieboszczykiem i dręczyć jej więcej nie będzie. Bała się, że pozbawiony błogosławieństwa i modlitw, krążyć będzie wokoło niej wyklęty, złośliwy. Obawiając się go ujrzeć ponownie, chciała, by i księży postarali się o jego pogrzebanie, żeby cały świat wziął w tem udział, żeby o ile można lepiej, skuteczniej był pogrzebany. Usta jej drżały; załamywała ręce.

Troublet, stary znawca, patrzył na nią z zajęciem. Rozmawiał i gustował w ustroju kobiecym. Ta go zachwycała. Obserwując ją, płaska jego twarz promieniała radością.

— Bądź spokojną, dziecko moje. Zawsze można się porozumieć z Kościołem. To, o co prosisz, nie należy do moich atrybucyj; jestem doktorem laikiem. Ale mamy dziś, chwała Bogu, księży reli-

gijnych, posyłających pacjentów do wód cudotwórczych, i których jedyną funkcją jest stwierdzanie wypadków cudownego wyleczenia. Znam jednego, mieszkającego w tym kwartale; dam wam jego adres. Udajcie się do niego, arcybiskupstwo nic mu nie odmówi. On załatwi całą sprawę.

— O! nie — rzekł Pradel — pan leczyłeś tego nieszczęsnego Chevaliera. Pan musisz wydać świadectwo.

Romilly przytakiwał:

— Rozumie się, doktorze. Jesteś lekarzem teatru. Własne brudy w domu muszą być prane.

Nanteuil zwróciła na Sokratesa błagalne spojrzenie.

— Ależ — pytał Trublet — cóż chcecie, bym powiedział?

— To rzecz bardzo prosta — odparł Pradel — powiedz pan, że on do pewnego stopnia był nieodpowiedzialnym za swe czyny.

— Domagacie się poprostu, bym mówił, jak doktor na sprawach sądowych. Za wiele odemnie wymagacie.

— Wierzysz więc doktorze, że Chevalier posiadał całą, zupełną odpowiedzialność moralną?

— Przeciwnie, wierzę, że najzupełniej nie był odpowiedzialnym za swe czyny.

— A więc....

— Ale wierzę że w tem nie różnił się wcale od pana, odemnie i od wszystkich ludzi. Moi koledzy prawnicy robią pewne różnice w odpowiedzialnościach indywidyalnych. Ja także odróżniam zupełną odpowiedzialność od takiej, której brakuje jednej lub kilku części. Zresztą, godnem uwagi jest to, że dla potępienia nieszczęśliwego wynajdują w nim zawsze całkowitą odpowiedzialność...

A ich własna.... czyż jest tak jasną.... jak księżyc w pełni?

I doktor Sokrates rozwinął przed zdziwioną deputacją teatralną szeroką teorię ogólnego determinizmu. Cofnął się aż do początków świata. I jak Sileniusz Wirgiliusza, osmarowany sokiem jagód, śpiewał pasterzom sycylijskim i najadzie Egle o początkach świata, tak on wylał potok słów.

— Żądać od nieszczęsnego, by odpowiadał za swe czyny?... Ależ przecie, gdy system słoneczny był tylko bladą mgławicą, tworzącą w eterze lekką koronę, objętości tysiąc razy większej niż orbita Neptuna, my wszyscy niewątpliwie byliśmy uwarunkowani, określani, przeznaczani do czynów nieodwołalnych, i że twoja odpowiedzialność, dziecko moje, Chevaliera i wszystkich ludzi była niezminiejszą, ale zupełnie zniesioną. Wszystkie nasze ruchy, wywołane poprzednim ruchem materji, są poddane prawom rządzonym przez siły kosmiczne i mechanika ludzka jest tylko szczególnym okazem mechaniki ogólnej.

Ręką wskazał na otwartą szafę.

— Mam tam w butelkach sposoby na przetworzenie, zniesienie, lub podniesienie do potęgi woli pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

— Użycie ich byłoby nie na miejscu — rzekł Pradel.

— Przyznaję, ale te substancje nie są wyłącznie produktami laboratorium. Laboratorium kombinuje, nie stwarza. Te substancje rozrzucone są w naturze. W stanie wolnym otaczają nas, przenikają, określają naszą wolę narzucają warunki naszej wolnej woli, która jest tylko złudzeniem, wywołaniem w nas nieświadomością naszych przeznaczeń.

— Co pan mówisz?—pytał przerażony Pradel.

— Mówię, że wola jest złudzeniem, wywoła.

nem nieświadomością, w jakiej się znajdujemy, odnośnie do przyczyn, zmuszających nas do chcenia. Co w nas chce, to nie my, to miryady komórek nadzwyczaj ruchliwych, których my nie znamy, które nas nie znają, nawzajem nie wiedzą o swej egzystencji, a jednak tworzą istotę naszą. Ruchem swym wywołują niezliczone prądy, które nazywamy naszymi namiętnościami, myślami, radością, bólem, pragnieniem, obawą i wolą. Zdaje nam się, że jesteśmy panami siebie, a tymczasem jedna kropla alkoholu podnieca, by je uspić następnie, te pierwiastki, przez które czujemy i chcemy.

Constantin Marc przerwał doktorowi:

— Przepraszam! Ponieważ wspominał pan o działaniu alkoholu, chciałbym się pana w tym przedmiocie poradzić. Piję mały kieliszek likieru po każdym jedzeniu. To nie za wiele, prawda?

— I bardzo nawet. Alkohol to trucizna. Jeżeli masz pan w domu butelkę wódki, wyrzuć ją przez okno.

Pradel siedział zamyślony. Uważał, że znosząc wolną wolę i odpowiedzialność u wszystkich ludzi, doktor Sokrates robił mu krzywdę osobistą.

— Możesz pan sobie mówić, co ci się podoba. Wolna wola i odpowiedzialność nie są złudzeniem. Są to rzeczywistości, obdarzone siłą, pod zmysły podpadającą.

— Wiem, do czego mnie zobowiązuje moja książka rachunkowa, i narzucam mą wolę mojemu personelowi.

Dodał jeszcze z goryczą:

— Wierzę w wolną wolę, w odpowiedzialność moralną, w rozróżnianie dobra od zła. A zapewne, według pana, są to głupie pojęcia...

— Bez wątpienia — odparł doktor — to są niedorzeczne pojęcia. Ale dla nas są one bardzo dogodne, gdyż jesteśmy głupcami zwierzętami. O tem

zawsze się zapomina. To są pojęcia głupie, dostojne i zbawienne. Ludzie poczuli, że bez tych pojęć oszaleliby wszyscy. Musieli wybierać między głupotą lub furją. Rozsądnie wybrali głupotę. Taka jest podstawa pojęć moralnych.

— A cóż to za paradoks? — zawołał Romilly.

Doktór ciągnął dalej ze spokojem:

— Rozróżnianie dobra od zła w społeczeństwach ludzkich nigdy nie wyszło z granic najprostszego empiryzmu. Ukonstytuowało się ono w umyśle rdzennie praktycznym i dla najzwyczajniejszej wygody. Nie troszczymy się o kryształ lub drzewo. Praktykujemy obojętność moralną względem zwierząt, toż samo względem dzikich. Pozwala nam to tępić ich bez wyrzutów sumienia. Nazywa się to polityką kolonialną. Nie widzimyż równie, że wierzący wymagają od swego boga wysokiej moralności. W obecnym stanie społeczeństwą nie godziłiby się z myślą, że on może być lubieżnym i kompromitować się z kobietami; ale nie dziwią się, że jest mściwym i okrutnym. Moralność polega na zobopólnej zgodzie zachowania i utrzymania tego, co się ma: ziemi, domów, mebli, żon i życia naszego. Nie wymaga to od tych, co się jej poddają, żadnego szczególnego wysiłku inteligencji i charakteru. Jest ona instynktowna i dzika. Napisane prawo towarzyszy jej zblizka i zgadza się z nią wcale dobrze. Widzimy też, że ludzie wielkiego geniuszu i serca prawie wszyscy oskarżeni byli o bezbożność i jak Sokrates, syn Phenareta, i Benedykt Malon, prześladowani byli przez sprawiedliwość kraju swego. Można powiedzieć, że człowiek, który nie był skazany przynajmniej na więzienie, małą cześć okazywał swej ojczyźnie.

— Są to wyjątki — rzekł Pradel.

— Bardzo małe — odparł doktor Trublet.

Ale Nanteuil nie ustępowała od swego:

— Mój mały Sokratesie, możesz zaświadczyć, że on był waryatem. To jest prawda. On nie był przytomnym ja wiem o tem dobrze.

— Zapewne, on był waryatem, dziecko drogie. Ale chodzi o to, czy nim był więcej, niż inni ludzie. Cała historia ludzkości, przepelniona torturami, ekstazą i mordem, jest historią waryatów i furyatów.

— Doktorze — spytał Constantin-Marc — może przypadkiem powstajesz przeciw wojnie? To jednakże wspaniała rzecz, gdy się nad tem człowiek zastanowi. Zwierzęta poprostu pożerają się między sobą. Ludzie wymyślili mord w pięknych szatach. Zabijając się wzajemnie, noszą błyszczące pancerze, pióropusze na kaskach, z których spływają grzywy na czerwono malowane. Używają artyleryi i sztuki fortyfikowania się, wprowadzili chemię i matematykę do wzajemnego wytępiania się. To wspaniały wynalazek. A ponieważ wytępianie istot wydaje nam się jedynym celem życia, rozum ludzki musiał z niego wytworzyć przyjemność i wspaniałość... Gdyż w końcu nie możesz zaprzeczyć, doktorze, że mord jest prawem natury i skutkiem tego—boskim!

Doktór Sokrates odparł na to:

— Jesteśmy tylko nieszczęśliwemi zwierzętami, a jednak jesteśmy dla nas samych opatrnością i bóstwem. Zwierzęta niższe, których odwieczne panowanie poprzedziło nasze na tej planecie, przetworzyło ją geniuszem i odwagą swoją. Owady wytknęły drogi, skopały ziemię, wyźłobiły drzewa i skały, zbudowały domy, założyły miasta, zmieniły grunt, powietrze i wody. Praca najpokorniejszych madreporów (rodzaj polipów) stworzyła wyspy i kontynenty. Każda zmiana materyalna wywołuje zmianę moralną, gdyż obyczaje dalekie są od środowiska. Przekształcenie, do jakiego człowiek przy-

prowadza ziemię, jest bezwątpienia głębsze, harmonijniejsze, niż przekształcenia, dokonane przez inne zwierzęta. Czyżby ludzkość nie zdołała zmienić natury tak, by ją uczynić pokojową? Dlaczegożby ludzkość, tak słaba, jaką jest i będzie, nie mogła kiedyś znieść zupełnie, lub uregulować współzawodnictwa żywotnego? Dlaczegożby nie miała znieść w końcu prawa mordy? Można od chemii bardzo wiele oczekiwać. A jednak za nic nie odpowiadam. Możliwym jest, że rasa nasza trwać będzie w melancholii, manii, waryactwie i odrętwieniu aż do rozpaczliwego końca w lodach i mrokach. Wiat ten może jest niepoprawnie złym. W każdym razie zabawiałem się na nim doskonale. Korzysta się z niezmiernie rozweselającego przedstawienia i zaczynam wierzyć, że Chevalier był większym od innych ludzi waryatem, jeżeli dobrowolnie ten świat opuścił.

Nanteuil wzięła pióro, zanurzyła je w atramencie i podała doktorowi.

Zaczął pisać:

„Będąc kilkakrotnie wzywany do...

Zatrzymał się, pytając o imię Chevaliera.

— Aimé — odparła Nanteuil.

— „... de Aimé Chevaliera, mogłem stwierdzić w organizmie jego pewne zaburzenia we wrażliwości, widzeniu i ruchach, zwykle wskazówki...

Wstał, by wziąć książkę z biblioteki.

— Dziwiłbym się, gdybym nie znalazł potwierdzenia mej dyagnostyki w lekcjach profesora Balla o chorobach umysłowych!

Przerzuczał kartki.

— Oto masz, kochany Romilly, znalazłem na początek w lekcji dziesiątej, na stronicy 389. „Pomiędzy aktorami spotyka się wielu waryatów.” Ta uwaga profesora Balla przypomina mi, że kiedyś sławny Cabanis spytał doktora, czy teatr nie wywołuje waryactwa.



— Doprawdy? — spytał zaniepokojony Romilly.

— Nie ulega wątpliwości — odparł Trublet. — Ale posłuchaj, co na tej samej stronie mówi profesor Ball: „Niezaprzeczalnem jest, że doktorowie są skłonni do chorób umysłowych”. Nie znam większej prawdy. Wśród doktorów, zajmujących się waryatami, spotyka się wielu waryatów. Często bardzo trudno orzec, który z nich większym jest waryatem: chory, czy leczący go doktor. Powiadają również, że ludzie genialni skłonni są do szaleństwa. To jest pewnem. W każdym razie, nie dość być głupcem, by posiadać w porządku władze umysłowe.

Jeszcze chwilę wertował „Lekcyę” profesora Balla, następnie wziął się do pisania:

— .... zwykłe wskazówki maniackiego podniecenia, a jeżeli się weźmie pod uwagę, że osobnik był temperamentu nerwowego, zrozumieć łatwo, że jego natura wiodła go do szaleństwa, które zgodnie ze zdaniem największych powag naukowych, jest tylko podniesieniem do potęgi zwykłego charakteru danego osobnika, nie można mu więc przyznać zupełnej odpowiedzialności moralnej”.

Podpisał i podał papier Pradelowi:

— Oto dokument niewinny i zbyt sensu pozbawiony, by mógł zawierać choć cień kłamstwa..

Pradel wstał.

— Zechciej wierzyć, kochany doktorze, iż nie żądałibyśmy kłamstwa od ciebie.

— A to dlaczego? Jestem doktorem. Handluję kłamstwem. Koję, pocieszam. A czyż można koić i pocieszać, nie kłamiąc?

A patrząc z przyjaźnią na Nanteuil, dodał:

— Tylko kobiety i doktorzy wiedzą, jak kłamstwo jest potrzebne i jakim jest dobrodziejstwem dla ludzi.

A gdy Pradel, Constantin-Marc i Romilly żegnać się zaczęli, rzekł:

— Wracajcie przez salę jadalną. Dostałem beczułkę starej wódki. Palce lizać.

Nanteuil pozostała w gabinecie doktora.

— Mój mały Sokratesie, ta noc straszną była. Widziałam go...

— We śnie?

— Nie, zupełnie na jawie.

— Pewną jesteś, że nie spałaś?

— Najzupełniej pewną.

Chciał spytać, czy wizya przemówiła. Powstrzymał się z wypowiedzeniem tych słów, bojąc się podsunąć tak wrażliwemu osobnikowi halucynacyi słuchowych, z charakteru swego, dominującego, niebezpieczniejszych od halucynacyi wzroku. Wiedział, z jaką uległością chore poddają się rozkazom danym im przez głosy. Wyrzekając się badania Felicji, usiłował wszakże zniweczyć skropuły, mogące niepokoić jej sumienie. Z obserwacyj swych wywnioskował, że zwykle odczucie moralnej odpowiedzialności słabe jest u kobiet, nie robił więc wielkich wysiłków, powiedział niedbale:

— Dziecko moje, nie powinnaś uważać się odpowiedzialną za śmierć tego nieszczęśliwego. Samobójstwo z namiętności wpływające jest fatalnym wynikiem stanu patologicznego. Każdy kochający się osobnik musiałby się zabić. Jesteś tylko wypadkową przyczyną zdarzenia, nieszczęsnego bezwątpienia, ale którego doniosłości nie należy przesadzać.

Uważał, że tego już dość i zajął się natychmiast zacieraniem trwożnych widzeń, prześladowających ją. Usiłował przekonać ją prostem rozumowaniem, że obrazy, przez nią widziane, nie były rzeczywistością, a tylko odbiciem jej myśli. Dla ilu-

stracyi tego dowodzenia opowiedział jej uspakajającą historję:

— Pewien doktor angielski — mówił — leczył damę tak inteligentną, jak ty, moje dziecko i również jak ty widującą koty pod meblami i duchy. Przekonał ją, że te wizye nie miały żadnej podstawy realnej. Uwierzyła temu i odzyskała spokój. Pewnego dnia ukazała się ona w towarzystwie, od którego długi czas trzymała się na uboczu. Wchodząc do salonu, przywitała się z gospodynią domu, która wskazała jej fotel, prosząc, by usiąść zechciała. Ale w fotelu tym siedział jakiś nachmurzony staruszek. Domyśliła się ona, że ta osoba musi być wytworem jej imaginacyi i siadła na fotel. Nie omyliła się, fotel był pusty. Od tego dnia nie widziała już żadnych wizyi. Razem ze staruszką zgłuszyła je siadając.

Felicja zaprzeczyła głową.

— Do mnie się to zastosować nie da.

Chciała powiedzieć, że jej widziadło to nie słaby staruszek, na którym się siada, lecz zazdrosny nieboszyk, przychodzący w pewnym celu. Ale bała się mówić o tych rzeczach i spuściwszy ręce na kolana, umilkła.

Widząc ją tak zgnębioną i smutną, przedstawił jej, że te zaburzenia wzrokowe nie są ani rzadkie, ani niebezpieczne i że znikają szybko, nie pozostawiając żadnych śladów.

— Ja również miałem widzenie.

— Pan?

— Tak, miałem widzenie przed dwudziestu laty w Egipcie.

Spostrzegł, że patrzy na niego z wielką ciekawością, więc rozpoczął opowiadanie o swej halucynacyi, zapaliwszy wszystkie lampy elektryczne, aby rozproszyc mrok, mogący wywołać jakieś wizye.

— Gdy byłem doktorem w Kairze, co roku

w lutym płynąłem Nilem do Luksoru, by ztamtąd udać się z przyjaciółmi na zwiedzanie w pustyni grobowców i świątyń.

Te wycieczki przez ocean piasku odbywają się na grzbiecie osłów. Ostatnim razem, gdy się udawał do Luksoru, nająłem młodego oślarza, którego osioł biały, Rhamzes, silniejszym był od innych. Ten oślarz, imieniem Selim, był również silniejszym, szczuplejszym, piękniejszym od innych oślarzów. Miał lat piętnaście. Jego łagodne, piękne oczy błyszczały pod wspaniałą zasłoną długich, czarnych rzęs; twarz ogorzała, miała owal czysty i stanowczy. Boso szedł po pustyni, a kroki jego przyminały taniec wojowników, o których Biblia wspomina.

Wszystkie ruchy jego były urocze, czarowną była jego wesołość młodego zwierzątka. Dotykając końcem kija grzbietu Rhamzesa, mówił ze mną urywaniem zdaniami, mieszając angielskie, francuskie i arabskie słowa; opowiadał chętnie o podróżnikach, których prowadził, miał ich wszystkich za książąt i księżniczki; ale gdy rozpytywałem o jego rodziców i towarzyszków—milczał z miną znudzoną i obojętną. Gdy żebrał o dobry baczysz, nosowy głos jego nabierał pieścotliwych dźwięków.

Wymyślał subtelne fortele i wyczerpywał całe skarby modłów, by wyprosić papierosa. Spostrzegłszy, że przyjemnie mi jest, gdy oślarze łagodnie obchodzą się ze zwierzętami, całował przy mnie Rhamzesa w nozdrza, a w czasie postoju tańczył z nim. Czasami, aby otrzymać to, czego pragnął, stawał się niezmiernie pomysłowym. Ale był zbyt mało przezornym, by kiedykolwiek okazać najmniejszą wdzięczność za to, co otrzymał.

Chciwy piasstrów, pożądał jeszcze goręcej małych błyszczących przedmiotów, dających się chować, jak np. szpilki żółte, pierścionki, spinki, krzesiwo niklowe;

na widok złotego łańcucha twarz jego przybierała wyraz lubieżny.

Nadchodzące lato stało się najuciążliwszą epoką w mem życiu. W Dolnym Egipcie objawiła się epidemia cholery. Przebiegałem miasto od świtu do nocy, w upał piekielny. Lato w Kairze jest przygnębiające dla Europejczyków.

Tygodnie całe trwał upał, jakiego dotąd nie znałem.

Dowiedziałem się dnia pewnego, że Selim, stawiony przed sądem tuziemców w Kairze, skazany został na śmierć. Zamordował dziecko fellaha, dziewczynkę dziewięcioletnią, aby jej skraść obręcze z uszu, i rzucił ją następnie do cysterny.

Okrwawione obręcze znaleziono pod wielkim kamieniem w dolinie Królów. Były to klejnoty dzikusów, które wędrujący Nubijczycy, wyrabiają uderzeniami młotka ze sztuk złotych pieniędzy. Powiedziano mi, że Selim wisieć będzie napewno, gdyż matka dziewczynki nie przyjmuje ceny krwi.

Istotnie, khedyw niema prawa ułaskawiać, a zbrodniarz, zgodnie z prawem muzułmańskim, nie może wykupić życia swego, jeżeli rodzice ofiary nie przyjmują pewnej sumy pieniędzy, jako wynagrodzenie.

Zbyt zajęty byłem, aby móżdż myśleć o tej sprawie.

Rozumiałem to łatwo, że Selim, przebiegły, ale niezastanawiający się, pieszczotliwy, niewrażliwy, bawiąc się z dziewczynką, wyrwał jej obręcze, następnie zabił ją i zdobycz ukrył. Wkrótce zapomniałem o tem.

Ze starego Kairu epidemia rozszerzyła się na dzielnice europejskie. Odwiedzałem ze czterdziestu chorych dziennie i każdemu robiłem obfite iniekcje do żył. Cierpiałem na zaburzenie wątrobowe, anemii mnie wyczerpywała, npadałem ze zmęczenia. Dla

podtrzymania sił musiałem w południe odpoczywać trochę.

Po śniadaniu na wewnętrznym dziedzińcu mego domu kładłem się i przez godzinę zanurzałem się w tym cieniu afrykańskim, gęstym, świeżym jak woda.

Pewnego dnia, gdy tak leżałem na kanapie, w chwili gdy zapalałem papierosa—ujrzałem wchodzącego Selima. Pięknem, jak z brązu ulanem ramieniem podniósł portyere i zbliżył się do mnie w błękitnej swej szacie. Milczał, lecz uśmiechał się swym niewinnym uśmiechem, a purpurowe wargi odkrywały szereg wspaniałych zębów. Oczy w cieniu rzęs błyszcząły pożądliwością, patrząc na zegarek leżący na stole.

Myślałem, że uciekł z więzienia. Dziwiłem się, nie dlatego, by więźniowie ściśle byli strzeżeni w tych wchodnich więzieniach, gdzie kobiety, mężczyźni, konie, psy siedzą razem, na dziedzińcach źle zamkniętych, pod strażą jednego żołnierza, mającego kij za całą broń. Ale muzułmanie nigdy nie usiłują unikać losu. Selim ukląkł, przybrał pozę błagającą, zbliżył usta do mojej ręki, by ją ucałować według starożytnego obyczaju. Nie spałem, miałem tego dowód, wiedziałem również, że zjawisko krótko trwało. Gdy Selim znikł, spostrzegłem, że palący się papieros nie spopielał jeszcze.

— Czy już był umarłym, gdyś go widział?— spytała Nanteuil.

— Nie — odparł doktor. — Dowiedziałem się w kilka dni później, że Selim w więzieniu wypłatał małe koszycki, że godzinami całymi bawił się różańcem o szklanych paciorkach i że odwiedzających go europejczyków, zdziwionych wyrazem pieśczośliwym oczu jego, prosił z uśmiechem o piastra. Sprawiedliwość muzułmańska powolną jest. Powieszono go w sześć miesięcy później.

Nikt, nawet on sam, nic sobie z tego nie robił. Byłem wówczas w Europie.

— I nie powrócił więcej?

— Nigdy.

Nanteuil, zawiedziona, patrzyła na niego.

— Myślałam, że przyszedł po śmierci. Ale ponieważ był w więzieniu, więc rozumie się, że nie mogłeś go pan widzieć u siebie, było to tylko przywidzenie.

Doktór, rozumiejąc myśl Felicji, pospieszył odpowiedzieć:

— Wierz mi, moja mała Nanteuil. Widma nieboszczyków tak mało mają rzeczywistości, jak widma ludzi żyjących.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, spytała, czy rzeczywiście dlatego miał widzenie, że cierpiał na wątrobę.

Odpowiedział, że przypuszcza, iż zły stan organów trawienia, ogólne zmęczenie, skłonność do kongestji, uspobiła go do tego.

— Była, zdaje mi się, przyczyna bezpośrednia— dodał.

— Leżąc na kanapie, trzymałem głowę bardzo nisko. Podniosłem ją, by zapalić papierosa i znów ją opuściłem. Ta pozycja dziwnie usposabia do halucynacji. Wystarczy czasami położyć się z głową odrzuconą, aby widzieć, słyszeć -- kształty i dźwięki nieistniejące. Dlatego też radzę ci, moje dziecko, spać na dwóch poduszkach.

Ona śmiać się zaczęła.

— A! tak jak mama... majestatycznie!

Nagle, przeskakując na inną myśl zawołała.

— Powiedz - że Sokratesie, dla czego nie widziałes kogoś innego, tylko tego brudasa? Wynająłeś od niego osła i nie myślałeś o tem więcej. A on jednak przyszedł. To przecie zabawne.

— Pytasz mnie, dlaczego ten, a nie inny. Nie umiem ci tego wytłómaczyć, czasami widzenia nasze, ściśle związane z tajemnymi naszymi myślami, są ich odbiciem; czasami znów nie mają żadnego z niemi związku i ukazują nam postać nieoczekiwaną

Przekonywał ją, by się nie obawiała tych widm.

— Umarli nie wracają. Gdy jeden z nich ukaże ci się, bądź pewną, że to jest wytwór twej imaginacji.

— Czy możesz mi zaręczyć, że nie ma nic po śmierci?

— Moje dziecko, niema nic takiego po śmierci, aby cię przerażała mogło.

Wstała, wzięła swój woreczek i rękopis, podała rękę doktorowi, mówiąc:

— W nic nie wierzysz, mój stary Sokratesie.

Zatrzymał ją chwilę w przedpokoju, polecając, by się oszczędzała, prowadziła życie spokojne, pokrzepiające, odpoczywając często.

— Czy sądzisz, że o to łatwo w naszym zawodzie?...

Jutro mam repetycyę w foyer, repetycyę na scenie, muszę suknię przymierzyć; dziś wieczór—gram. Oto od roku przeszło wiodę takie życie.

## X

Pod wielką próżnią, wytworzoną wysokością sklepienia, o które obijały się echa modlitw, zebrało się pstre zbiorowisko istot ludzkich.

Byli tam wszyscy u stóp katafalku, jarzącem światłem otoczonego, pokrytego kwiatami: Durville, stary Maury, Delage, Vicar, Destrée, Leon Clim, Valroche, Aman, Regnard, Pradel i Romilly i Mar-



hegeay—reżyser. I one zebrały się tu: pani Ravaud, pani Doulice, Ellen Midi, Duvernet, Herschell, Fallempin, Stella, Marya-Klara, Ludwika Dalle, Fagette, Nanteuil, klęczały w czarnych szatach, podobne elegiom. Niektóre modliły się z książek. Były takie, co płakały. Wszystkie przyniosły w ofierze zmarłemu koledze podbite oczy i cerę od zimnego powietrza poranku posiniałą. Reporterzy, aktorowie, autorowie dramatyczni, rodziny całe rzemieślników, żyjących z teatru i tłum ciekawych zapępiał nawę.

Chłopcy, do mszy posługujący, płaczącym głosem wołali *Kyrie eleison*; ksiądz pocałował ołtarz, zwrócił się do ludu i rzekł:

— *Dominus vobiscum.*

Romilly wzrokiem objął publiczność.

— Chevalier pełną ma salę—rzekł.

— Spójrz na Ludwikę Dalle—zawołała Fagette.—Aby mieć żałobną minę, włożyła płaszcz czarny gumowy.

Celebrujący po prawej stronie ołtarza recytował cichym głosem:

— *Nolumus autem vos ignorare fratres de dormientibus, ut non contristemini, sicut et caeteri qui spem non habent.*

— Kto bierze rolę Florentyna?—spytał Durville Romillego.

— Regnard, nie będzie on gorszym od Chevaliera.

Pradel pociągnął Trubleta za rękaw.

— Doktorze Sokratesie, powiedz mi proszę, czy z punktu widzenia uczonego i fizyologa znajdujesz wiele trudności w przyznaniu duszy nieśmiertelności?

Rzucił to pytanie, jak człowiek praktyczny i bardzo zajęty, potrzebujący wyjaśnień osobistych.

— Wiesz zapewne, kochany przyjacielu — od-

parł Trublet, co mówił w tym przedmiocie ptak Cyrana. Pewnego dnia Cyrano de Bergerac sły-  
szał rozmowę dwóch ptaków. Jeden mówił: „Du-  
sza ptasia jest nieśmiertelna.—To nie ulega wątpli-  
wości—drugi odparł: Ale tego pojąć nie mogę, że  
istoty, nie mające ani dziobów, ani piór, ani skrzy-  
deł, chodzące na dwóch nogach po ziemi, wystawia-  
ją sobie, że mają tak, jak ptaki, duszę nieśmier-  
telną”.

— To wszystko jedno — rzekł Pradel — głos  
organów wytwarza we mnie nastrój pobożny.

— *Requiem aeternam dona eis Domine.*

Sławny autor „Nocy z 23-go października”  
ukazał się w kościele i w jednej chwili był wszędzie  
jednocześnie: w nawie, na chórze, pod portykiem.  
Musiał chyba jak kulawy dyabeł siadać jak na ko-  
nia na swą kulę i przelatywać nad głowami obe-  
cnych, by w jednym mgnieniu oka przebiegać od de-  
putowanego Morlot, który jako liberał został przed  
kościółem, do Maryi-Klary, klęczącej przy kata-  
falku.

W tej samej sekundzie szeptał do wszystkich  
uszu zręczne słówka.

— Pradel, czy możesz pojąć tego chłopca,  
który rzuca swą rolę, rolę doskonałą i odbiera so-  
bie życie, jak jaki idyota! Strzela sobie w łeb  
w wigilię premiery! Zmusza nas do szukania zastęp-  
cy i opóźnia przedstawienie o tydzień cały. Co za  
kretyn! Grał, jak nie można gorzej. Ale należy  
mu oddać sprawiedliwość, że skakał doskonale, bestya.  
Mój dobry Romilly, dziś o drugiej próbujemy z za-  
stępcą. Dopilnuj Regnarda, by miał rolę przepisa-  
ną i umiał drapać się na dach. Aby nam tylko  
nie pękł w rękach, jak Chevalier! Gdyby i ten się  
zabił! Nie śmiej się. Czasami los prześladuje  
pewną rolę. Tak np. w moim „Marino Faliero”  
gondolier Sandro na próbie generalnej — łamie so-

bie rękę. Dają mi drugiego Sandro. Ten wykręca sobie nogę na pierwszym przedstawieniu. Dają trzeciego, zachorowyywa na tyfus... Moja mała Nanteuil, powierzę ci wspaniałą rolę, gdy będziesz w Komedyi Francuskiej. Ale przysiągłem na wszystkie bogi, że nie dam już żadnej sztuki do tego teatru.

I zaraz potem, pokazując kolegom epitafium Racina, wmurowane w ścianę, jak paryżanin, ceniący starożytności miasta, opowiadać zaczął historię tego kamienia. Mówił, że poeta, zgodnie ze swem życzeniem, pogrzebany był w Port-Royal-des Champs, u stóp grobu M. Hamona, ale po zbudowaniu opactwa i zgwałceniu grobów, ciało Jana Racina, sekretarza królewskiego, zostało przeniesione bez żadnych honorów do Saint-Étienne-du Mont. Opowiadał, jest kamień grobowy, mający pod tarczą herbową napis, ułożony przez Boileau i na łacinę przełożony przez Dodarta, służył za płytę na chórze małego kościołka Magny-Lessart, gdzie został znaleziony w r. 1808.

— Oto go macie! — dodał. — Pęknięty na sześć kawałków, imię Racina zatarły chłopskie buty. Sklejono kawałki i dodano brakujące litery.

Rozwodził się nad tym przedmiotem ze swą zwykłą żywością i wielomównością, wyciągał ze swej zadziwiającej pamięci mnóstwo ciekawych faktów i zabawnych historyjek, ożywiając historię i podniecając archeologię. Jego zachwyty i gniew wybuchał raz za razem z wielką gwałtownością, pomimo powagi miejsca i wspaniałości ceremonii.

— Chciałbym wiedzieć np., co za głupi wałkoń wmurował ten kamień w ścianę. *Hic jacet nobilis vir Johannes Racine*. To nie jest prawdą. Każą kłamać epitafium zacnego Boileau. Ciało Ra-

cina tu się nie znajduje. Zostało złożone w trzeciej kaplicy na lewo od wejścia. Co za idyoci!

Nagle uspokojony wskazał kamień grobowy Pascala.

— On pochodzi z muzeum Petits-Augustins. Niedosć nigdy pochwał dla Lenoira, który za czasów Rewolucyi wziął pod opiekę...

Zaimprovizował drugi wykład archeologii lapidarnej, świetniejszy jeszcze od pierwszego, z historii Pascala stworzył dramat straszny i zabawny i znikł. Dziesięć minut wszystkiego bawił w kościele.

Nad temi głowami, zgnębnionemi troskami świątowemi i żądzami ludzkiemi, huczało jak burza *Dies irac*:

*Mors stupedit et natura,  
Quum resurget creatura.  
Judicanti responsura.*

— Powiedź, Dutil, jakim sposobem ta mała Nantenil, tak ładna, inteligentna, mogła się związać z takim aktorzyną, jak ten Chevalier?

— Zadziwia mnie twoja nieznamość serca kobiecego.

— Herschell ładniejszą była jako brunetka.

*Qui Mariam absolvisti  
Et latronem exaulisti  
Mihî quoque spem dedisti.*

-- Muszę iść na śniadanie.

-- Czy znasz kogo, znajdującego ministra?

— Durvillowi nie wiele się należy. Sapie, jak foka

— Zróbcież jaką małą wzmiankę o Maryi Fa-

lempin. W „Les trois Magots” była prześliczną, zaręczam wam!

— Więc to dla Nanteuil łeb sobie rozwalili? Mała gąska, nie warta zachodu!

— Czyż doprawdy, doktorze, on się zabił dla tego, że Nanteuil nie chciała go więcej?

— Zabił się — odparł Trublet — gdyż ona pokochała innego. Człowiek, prześladowany wizjami umysłowemi, skłonny się staje do manii i melancholii.

— Nie znasz kabotynów, doktorze Sokratesie — rzekł Pradel. — Zabił się, by wywołać wrażenie, nie dla czego innego.

— To nie tylko aktorowie — rzekł Constantin-Marc — doznają niezwalczonej potrzeby zwrócenia na siebie uwagi. W przeszłym roku u mnie, w Saint-Bartholomé, gdy młócono zboże, chłopiec trzynastoletni wsunął pod maszynę rękę, która aż do ramienia uległa zgruchotaniu. Doktor po odcięciu ręki i założeniu opatrunku spytał, dlaczego tak strasznie się okaleczył. Dzieciak wyznał, że to dla zwrócenia na siebie uwagi.

Nanteuil z suchemi oczami i zaciśniętymi ustami, patrzyła uporczywie na czarne sukno, kryjące trumnę, i czekała niecierpliwie, by wylano dość święconej wody, wypalono jak najwięcej świec, wypowiedziano mnóstwo łacińskich modlitw, by ten zmarły, zadowolony i zrezygnowany, odszedł sobie na wieki.

Widziała go znów dzisiejszej nocy i sądziła, że powrócił dlatego, bo księża nie wypowiedzieli jeszcze nad nim słów, spokój zabezpieczających. Następnie przyszło jej na myśl, że kiedyś i ona umrze i leżeć będzie jak ten człowiek w trumnie, pod czarnem suknem. Zadrżała z przerażenia i zamknęła oczy. Tak potężne w niej było pojęcie o śmierci, iż wydawało jej się, że śmierć to życie strasz-

ne. Bała się śmierci i modliła się, aby żyć długo. Klęcząc z pochyloną głową, z jasną chmurą włośów, spadających na czoło, czytała skruszona w książce do nabożeństwa słowa, których nie rozumiała, a które ją uspokajały.

„Panie Jezu Chryste, Królu chwały, wyzwól duszę wszystkich wiernych zmarłych z mąk piekielnych i ciemnych otchłani. Wybaw je z paszczy lwiej. Oby ich piekło nie pochłoneło i nie popadły w ciemność, niech św. Michał, książę aniołów powiedzie je do jasności świętej, którą obiecałeś Abrahamowi i jego potomkom...”

W chwili Podniesienia zgromadzeni, przeniknięci niejasnym uczuciem, że tajemnica wznioslejszą się staje, przerwali rozmowy i przybrali pozory skupienia. Organy umilkły i na odgłos dzwonka, poruszanego ręką dziecka, pochyliły się wszystkie głowy.

Gdy po ostatniej Ewangelii, po skończonej mszy, ksiądz w asystencji zbliżył się do katafalku, przy śpiewie *Libera*, tłum, jakby z ucisku wyzwolony, poruszył się, pchał się nawet, by wyjść przed wyniesieniem trumny.

Kobiety, których pobożność, smutek, skrucha, zależną była od nieruchomości i klęczącej pozycyi, natychmiast wróciły do swych zwykłych myśli, gdy powstał ruch i w szeregu wychodzących ludzi spotykały znajomych. Wymieniały zdania urywane:

— Czy wiesz — rzekła Ellen Midi do Falem-piny — że Nanteuil wchodzi do Komedyi Francuskiej.

— To niemożliwe!

— Kontrakt już spisany.

— W jaki sposób doszła do tego?

— Z pewnością nie graniem komedyi — od-

parła Ellen i opowiadać zaczęła niezmiernie skandaliczną historię.

— Bądź ostrożną — szepnęła Fałempin — ona idzie za tobą.

— Widzę ją doskonale! Miedziane ma czoło, kiedy ośmieliła się przyjść tutaj, prawda?

Marya-Klara wpuściła do ucha Durvilla nadzwyczajną historię.

— Powiadają, że on się zabił. Otóż to nie prawda, nie zabił się wcale. A dowodem tego jest, że go wpuścili do kościoła.

— A zatem?

— Pan de Ligny złapał go na gorącym uczynku z Nanteuil i zabił go.

— Bajki!

— Upewniam cię, że doskonale jestem poinformowana.

Rozmowy stawały się ożywione i poufałe.

— A, jesteś stary niedołęgo!...

— Dochody zmniejszają się już.

— Stella popierana jest przez siedemnastu deputowanych, z których dziewięciu należy do komisji budżetowej — a mówiłem przecie Herschellowi: „Mały Bocquet to nie wasz interes. Wam trzeba człowieka poważnego”.

Gdy trumna na ramionach służby niesiona ukazała się pod portykiem, cudowne promienie zimowego słońca padły na twarze kobiet i róże, leżące na trumnie. Na obu chodnikach uszeregowana młodzież szkół rozmaitych wypatrywała, wypytywała o znanych aktorów, wyrobnice z fabryk sąsiednich, w pół się trzymając, oglądały stroje aktorek. Dwóch włóczęgów, trzymając się na zboliałych nogach, wsparło się o mur i oswojeni z życiem na wolnem powietrzu, pod niebem słodkiem lub groźnem, wodziło ponurem spojrzeniem po zgromadzo-

nych, a uczeń jakiś z uniesieniem spoglądał na rzyżę włosy, zdające się palić na karku Fagetty.

Stała na najwyższym stopniu schodów, rozmawiając z Constantin Marc i kilku reporterami.

— ...Pan de Ligny? Ależ on był codziennym u mnie gościem, zanim poznał Nanteuil. Patrzył na mnie namiętnemi oczyma godziny całe, nie śmiąc się oderwać. Przyjmowałam go chętnie, gdyż bardzo był na swoim miejscu. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość; sposób obejścia jego jest bez zarzutu. W końcu jednego dnia oświadczył mi, że do szaleństwa kocha się we mnie. Odpowiedziałam, że ponieważ się zwraca do mnie poważnie, ja mu również tem samem odpłacę: że przykro mi bardzo, iż ile razy rzecz taka się przytrafia, jestem istotnie zmartwiona; że jestem kobietą myślącą, że życie swoje już tak ułożyłam, iż nic dla niego uczynić nie mogę. Był zrozpaczony.

Oświadczył mi, że jedzie do Konstantynopola i więcej nie wróci. Ostatecznie nie mógł się zdecydować, czy jechać, czy zostać. Zachorował. Nanteuil sądziła, że go kocham i chcę, by został, a robiła wszystko, co było w jej mocy, by mi go odebrać. Nadskakiwała mu niemożliwie. Wydawała mi się czasami śmieszna, ale rozumiecie państwo, że nie stawiałam żadnych przeszkód jej projektom. Pan de Ligny, ze swej strony, czy aby żał we mnie wzbudzić, czy na złość, nie wiem doprawdy, a może zazdrość chciał wywołać, dość, że odpowiadał bardzo wyraźnie na zaczepki Nanteuil. Oto jaki był początek ich stosunku. Byłam tem zachwycona. Nanteuil i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami na świecie.

Pani Doulice pomiędzy dwoma szaregami ciekawych schodziła powoli ze schodów, robiąc sobie złudzenie, że tłum szeptę: „Patrzcie to Doulice!”

Złapała Nautenil na drodze, przycisnęła ją do



serca i tknięta miłością chrześcijańską, otoczyła ją swym płaszczem, mówiąc z płaczem:

— Spróbuj modlić się, moje dziecko i weź ten medalik. Papież go pobłogosławił, dał mi go Ojciec Dominikanin.

Pani Nanteuil, trochę zasapana, ale odmłodzona od chwili, gdy kochać zaczęła nanowo, wyszła ostatnia. Durville uściśnął jej rękę.

— Ten biedny Chevalier!—szepnął.

— Nie była to zła natura. Człowiek z towarzystwa nie zabija się w ten sposób. Ten chłopiec źle był wychowany.

Karawan, puszczonej w ruch, w olbrzymim cieniu Panteonu sunął ulicą Soufflot, pełną księgarń. Koledzy Chevaliera, urzędnicy teatrów, dyrektor, doktor Sokrates, Constantin-Marc, kilku docentów i paru ciekawych, szli za wozem. Aktorki zajęły miejsca w karetach. Nanteuil, chociaż jej to odradzała pani Doulice, jechała także w towarzystwie Fagette.

Czas był piękny. Rozmawiano poufale, idąc za trumną.

— Ależ to na końcu świata ten cmentarz!

-- Montparnasse? Trzydzieści minut powyżej.

— Czy wiesz, że Nanteuil zaangażowana jest do Komedyi Francuzkiej?

— Czy będzie dziś próba?—pytał Romilly'ego Constantin-Marc.

— Rozumie się, o trzeciej, w foyer, powtarzamy aż do piątej. Dziś gram, jutro gram, w niedzielę gram w południe i wieczorem... Dla nas, aktorów, nigdy niema końca, wiecznie musimy rozpoczynać, niosąc siebie w ofierze...

Poeta Adolf Meunier położył mu rękę na ramieniu.

— Jakże tam idzie, Romilly?

— A z tobą Meunier?.. Wtaczasz zawsze głąz Syzyfa. To jeszcze nicby nie było. Ale powodzenie nie tylko od nas samych zależy. Jeżeli sztuka jest złą i pada, wszystko, cośmy w nią włożyli, naszą pracę, nasz talent, kawałek życia własnego, ginie z nią razem... Mało to ja widziałem tych katastrof! Ileż to razy sztuka runęła przedemną jak szkapa, przywalając mnie na ziemię! A! gdybyż się odbierało kary tylko za własne winy!...

— Kochany Romilly—odparł żywo Meunier — czyż nie wiesz, że powodzenie nasze, autorów dramatycznych, tyle zależne jest od aktorów, co i od nas samych?

Ileż to razy sztuka, do wyższych wzlotów stworzona, pada dzięki nieostrożności lub niezręczności aktorów? Wszak my tak jak legioniści Cezara, trapieni jesteśmy strasznym niepokojem na myśl, że los nasz nie zapewnia nam wartości osobistej, lecz że zależnym jest od tych, co z nami razem do walki występują.

— Takim jest życie!—rzekł Constantin-Marc. We wszystkich przedsiębiorstwach zawsze i wszędzie płacimy za winy innych.

— Wielka to prawda — mówił znów Meunier, który nie dawno patrzył na upadek swego dramatu lirycznego „Pandalphe et Clarimonde”.—Ale ta niegodziwość, niesprawiedliwość oburza nas.

— Nie powinna nas oburzać — odparł Constantin-Marc.

— Jest święto prawo, rządzące światem, którego słuchać musimy i czcić, to niesprawiedliwość, wzniosła, święta niesprawiedliwość. Błogosławiona jest wszędzie pod imieniem szczęścia, powodzenia, geniuszu i uroku. Słabością jest naszą, że nie chcemy jej uznać i czcić pod jej właściwym mianem.

— To dziwne, co pan mówisz! — rzekł łagodny Meunier.

— Pomyśl pan—mówił dalej Constantin-Marc. Pan również stoisz po stronie niesprawiedliwości, gdyż ubiegasz się o zaszczyty i chciałbyś zgłębić swych współzawodników. Życzenie to naturalne, niesprawiedliwe, a prawomocne. Czy znasz pan coś bardziej wstrętnego i głupiego nad tych ludzi, domagających się sprawiedliwości? Opinia publiczna, chociaż nie jest bardzo inteligentna, zdrowy rozsądek, nie będący najwyższym rozumem, odczuł, że oni stanęli w przeciwieństwie do natury, społeczeństwa, życia.

— Bezwątpienia — rzekł Meunier — ale sprawiedliwość... jest tylko marzeniem kilku głupców. Niesprawiedliwość jest wolą Boga samego. Doktryna grzechu pierwotnego wystarczyłaby do zrobienia ze mnie chrześcijanina, a doktryna łaski zamyka w sobie wszystkie prawdy ludzkości i Boskie.

-- Więc pan posiadasz wiarę?—szytał z uszanowaniem Romilly.

— Nie, ale chciałbym ją posiadać. Uważam ją za najcenniejsze dobro, jakie tu na ziemi mieć można. W Saint-Bartholomé chodzę co niedziela i święta na mszę i ile razy słyszałem kazanie, tyle razy mówiłem sobie: „Oddałbym wszystko, co mam, dom mój, pola, lasy, aby być tak głupim, jak ta bestya!”

Michał, młody malarz o brodzie mistycznej, mówił do Rogera dekoratora:

— Ten biedny Chevalier miewał pomysły. Ale nie wszystkie były dobre. Pewnego wieczoru przyszedł promieniejący i przeistoczony do piwiarni, usiadł obok nas, a miętosząc stary kapelusz w czerwonych palcach, zawołał: „Odkryłem prawdziwy sposób grania dramatu. Dotąd nikt nie po-

trafił oddać dramatu, nikt, słyszycie?” i powiedział nam historię tego wynalazku. „Wracam z Izby. Kazano mi wdrapać się na amfiteatr. Widziałem deputowanych, rojących się jak czarne owady na dnie studni. Nagle mały, przysadkowaty człowiek włazi na trybunę. Zdawało się, że dźwiga na plecach wór węgla. Odstawiał łokcie, zaciskał pięście. Ach! jakże był śmiesznym! Miał akcent południowy i dykcję wadliwą. Mówił o pracujących, o proletaryacie i sprawiedliwości społecznej. To było coś wspaniałego; głos jego, giesta targały wnętrzościami; myślałem, że sala runie wskutek oklasków. Powiedziałem sobie: „To, co on tu robi, ja zrobię w teatrze, a nawet lepiej. Ja, komik, przedstawię dramat. Wielkie role dramatu, dla wywołania efektu, muszą być oddane przez komika, posiadającego duszę”. Biedny chłopiec myślał, że stworzył nową sztukę. „Zobaczą”— powtarzał.

Na rogu bulwaru Saint-Michel zbliżył się do Meuniera jeden z recenzentów.

— Czy to prawda, że Robert de Ligny był szalenie zakochany w Fagette.

— Jeżeli ją kocha, to od niedawna. Jeszcze przed paru tygodniami pytał mnie się, wskazując na Fagette: „Kto to, ta mała blondynka?”

— Nie wiem z kąd pochodzi ta nasza mania oczerniania ludzkości mówił jeden reporter do drugiego?

— Ja zdziwiony jestem ilością zacnych ludzi, których spotykam. Przyjdzie chyba uwierzyć, że ludzie wstydzą się swych dobrych uczynków i że kryją się, by spełniać czyny szlachetne i pełne poświęcenia... czyż nie tak?

— Co do mnie — odparł reporter gazety porannej— ile razy otworzę przez nieostrożność drzwi jakie, mówię to i pod przerośnią i nie, tyle razy odkrywam ohydę, której się nikt nie domyślał. Gdy-

by nagle społeczeństwo całe dało się odwrócić jak rękawiczka i można byłoby zajrzeć do wnętrza, padlibyśmy wszyscy zemdleni ze wstrętu i przerażenia.

— Kiedyś — mówił Roger do malarza Michała — znałem wuja Chevaliera. Był fotografem i ubierał się jak astrolog. Stary waryat, posyłał zawsze jednemu klientowi fotografię drugiego. Klienci reklamowali... ale nie wszyscy. Byli nawet tacy, co znajdowali podobieństwo nie w swoich fotografiach.

— Cóż się z nim stało?

— Zbankrutował i powiesił się.

Na bulwarze Saint-Michel Pradel, idący obok Trubleta, korzystał jeszcze ze sposobności, by się dowiedzieć o nieśmiertelności duszy i o losach człowieka po śmierci. Nie otrzymał żadnych pozytywnych wiadomości i powtarzał:

— Chciałbym wiedzieć.

Na co doktor Sokrates odpowiadał:

— Ludzie nie są stworzeni do tego, aby wiedzieć i rozumieć, nie mają danych do tego. Mózg człowieka pod względem objętości jest większy i bogatszy, niż mózg goryla, ale po za tem niema między nimi żadnej zasadniczej różnicy. Najszczytniejsze myśli nasze, najszersze systemy, będą tylko wspaniałem przedłużeniem myśli, mieszczących się w głowie małp. To, co więcej wiemy o świecie niż pies, bawi nas i pochlebia nam; ale to jest niezmiernie małe, same w sobie i złudzenia nasze wzrastają wraz z naszymi wiadomościami.

Ale Pradel nie słuchał więcej. Powtarzał w myśli mowę, którą miał wypowiedzieć na grobie Chevaliera.

Gdy orszak zakręcał koło gazów w alei Obserwatoryum, tramwaj przez uszanowanie dla śmierci zatrzymał się.

Trublet zwrócił na to uwagę.

— Ludzie — mówił — mają szacunek dla śmier-

ci, gdyż sądzą słusznie, że jeżeli zmarły wzbudza szacunek, to każdy człowiek ma pewność, że przynajmniej w tem będzie szacunku godny.

Wzruszeni aktorowie rozprawiali między sobą o śmierci Chevaliera. Durville tajemniczo, głosem głębokim wyjaśniał przebieg dramatu.

— To nie samobójstwo. To zbrodnia, mająca źródło w namiętności. Pan de Ligny złapał Chevaliera z Nanteuil. Dał do niego siedm strzałów. Dwie kule dosięgły naszego nieszczęsnego kolegę w głowę i pierś, cztery gdzieś zginęły, a piąta musnęła Nantenil pod lewą pierśią.

— Nanteuil raniona?

— Lekko.

— Pan de Ligny odpowie za to.

— Zatuszują tę sprawę i będą mieli rację. Ale moje informacye nie ulegają wątpliwości.

W powozach również aktorki siały wieści najrozmaitsze. Jedne wierzyły w morderstwo, drugie — w samobójstwo.

— Strzelał w pierś — zapewniała Falem-pin. — Zranił się tylko. Doktor tak powiedział: gdyby go opatrzono w porę, byłby ocalony. Ale zostawili go na podłodze, broczącego krwią.

Pani Doulice rzekła do Ellen Midi:

— Ja już nieraz byłam przy łożu śmierci: Kłękam wówczas i modłę się. Natychmiast przenika mnie nadziemski spokój.

— Szczęśliwą jesteś! — odparła Ellen Midi.

Przy końcu ulicy Campagne-Première, na bulwarach szewckich i szarych, poczuli wszyscy, jak długą drogę przebyli i smutek wędrowni przygnębił ich.

Zrozumieli, że idąc za tą trumną, przebyli dzielnicę żywych i dostali się między umarłych. Po prawej stronie rozsiedli się kamieniarze, wyrabiający pomniki, i kwiaciarze z całym arsenałem tanich

wyrobów na ozdoby grobów. Po lewej stronie, za niskim murem cmentarza, wznosiły się białe krzyże między nagimi koronami drzew i zewsząd wyziewała śmierć, śmierć banalna, unormowana przez miasto i państwo i biednie upiększana przez pozostałe rodziny.

Przesunęli się pomiędzy dwoma ciężkimi pi-lastrami z kamienia. Karawan jechał powoli, po piasku chrzęszczącym pod kołami. W przybytku zmarłych zdawał się dwa razy wyższym. Ludzie, idący w orszaku, czytali na grobach sławne nazwi-ska, lub patrzyli na pomnik młodej dziewczyny, sie-dzącej z książką w ręce. Stary Maury badał na epitafiach wiek nieboszczyków. Życie krótkie, a wię-ciej jeszcze przeciętne, zasmucało go, jak złe prze-czucie. Ale gdy napotykał zmarłych, wyjątkowo w lata posuniętych, cieszył się nadzieją i możliwo-scią długiego jeszcze życia.

Wóz zatrzymał się w pośrodku poprzecz-nej alei. Duchowieństwo i kobiety wysiadły z po-wozów.

Trumna, wzniesiona na ramionach ludzi, szła drogą wązką, wysadzoną karłowatemi cyprysami, przy szmerze modlitw.

Wkrótce i drogi zbrakło. Trzeba było gonić szybko idących za trumną księży, przeskakiwać le-żące płyty kamienne, przeciskać się między kolum-nami pomników. Trumna to ginęła, to znów się ukazywała. Nanteul goniła ją z zapalem; z książ-ką w ręce biegła pośpiesznie, odrywając zaczepioną o kratę spódnicę, muskając wieńce z nieśmiertelni-ków, z których niejeden kwiat przylgnął do jej su-kni. Nareszcie rozszedł się odór świeżo skopanej ziemi i bliżej stojący z wysokości sąsiedniego na-grobka dojrzeć mogli dół, w który trumnę spu-szczano.

Aktorowie nie żalowali na koszta pogrzebu;

złożyli się, aby zakupić koledze tyle ziemi, ile mu było potrzeba, dwa metry na lat pięć. Romilly w imieniu aktorów Odeonu przelał na ręce administracyi 300 fr., właściwie 301 fr. 80 cent. Wyrysował nawet projekt pomnika, złamana kolumna z wiszącymi na niej komicznymi maskami. Ale w tym przedmiocie jeszcze nic nie zdecydowano.

Celebrujący pobłogosławił dół. Ksiądz i posługujący rzucali takie wyrazy:

— *Requiem aeternam dona ei, Domine.*

— *Et lux perpetua luceat ei.*

— *Requiescat in pace.*

— *Amen.*

— *Anima ejus et animae omnium fidelium defunctorum, per misericordiam Dei, requiescant in pace.*

— *Amen.*

— *De profundis...*

Każdy podchodził, aby święconą wodą pokropić trumnę. Nanteuil wypełniała wszystko, przysłuchiwała się modlitwom, patrzyła na sypiącą się ziemię i kropienie wodą, nareszcie uknęła na uboczu i z przejęciem się mówić zaczęła: „Ojczy nasz, któryś jest...”

Pradel stanął na krawędzi dołu i mówić zaczął.

Do wielkiej mowy się nie przygotował. Ale teatr Odeonu nie może bez słowa pożegnania pozwolić odejść młodemu artyście, ukochanemu przez wszystkich.

— Powiem więc w imieniu wielkiej, serdecznej rodziny dramatycznej słowa, będące we wszystkich sercach...

Zgrupowani około mówcy w klasycznych pozach artyści słuchali z prawdziwą umiejętnością.

Słuchali uchem, ustami, okiem, rękami i nogami. Słuchali każdy na swój sposób, z godno-



ścią, naiwnością, bólem lub buntem, zależnie od fachu swego.

Nie, dyrektor teatru nie puści bez słów pożegnania dzielnego artysty, który w ciągu swej zbyt krótkiej karyery dał więcej, niż nadzieje.

— Chevalier, zapalający się, nierówny, niepokojny, nadawał swym kreacyom charakter szczególny, wybitną fizyognomię. Widzieliśmy go przed niewielu dniami, mógłbym powiedzieć—nie wielu godzinami, nadającego epizodycznej postaci wypukłość nadzwyczajną. Sławny autor sztuki był zdumiony. Chevalier dosięgał powodzenia. Miał w sobie ogień święty. Dopytywano się o przyczynę jego tragicznego końca. Nie badajcie lepiej tego. Chevalier umarł wskutek sztuki swej, umarł z gorączki dramatycznej. Umarł, pożarty płomieniem, niszczącym nas powoli. Na nieszczęście, teatr, którego tylko uśmiechy lub łzy, tak słodkie, jak uśmiechy, widzi publiczność, jest zazdrosnym panem, wymagającym od swych sług poświęcenia absolutnego, najboleśniej-szych ofar!

Żegnam cię, Chevalierze, w imieniu wszystkich kolegów, żegnam cię!”

Ocierano łzy. Artyści płakali szczerze, płakali nad sobą.

Gdy wszyscy się rozeszli, doktor Trublet, zostawszy z Constantin - Marc na cmentarzu, objął wzrokiem tę masę grobów:

— Czy przypomina pan sobie uwagę Augusta Comta: „Ludzkość składa się z umarłych i żywych. Umarłych jest o wiele więcej”.

Nie ulega to wątpliwości. Ogromem swym i wielkością dokonanej pracy są oni najpotężniejsi. Oni właściwie rządzą, my jesteśmy im posłuszni. Nasi mistrze leżą pod temi głazami. Oto prawodawca, który wyda prawo, jakiemu ja dziś ulegać muszę. Architekt, co mój dom zbudował, poe-

ta, co stworzył złudzenia, niepokojące nas dziś jeszcze; mówca, który wpoił nam przekonania zanim na świat przyszedliśmy. Oto twórcy naszych wiadomości prawdziwych, czy błędnych, naszego rozumu i naszych dziwactw. Oni są tem, ci niewzruszeni wodzowie, których nie posłuchać nie wolno. W nich jest siła, ciągłość, trwałość...

Czemże jest generacya żywych w porównaniu z niezliczonymi generacyami umarłych? Czemże jest nasza wola jednego dnia wobec ich woli, trwającej tysiące stuleci? .. Bunt przeciw nim podnieść, czyż możemy? Nie mamy nawet dość czasu, by im być nieposłusznymi!

— Nareszcie dobrnąłeś do końca, doktorze Sokratesie!—zawołał Constantin-Marc;—zrzekasz się postępu, nowej sprawiedliwości, pokoju świata, swobody myśli, poddajesz się tradycyi... Zgadzasz się ze starymi błędami, ciemnotą, szanownymi występkami ojców naszych. Wracasz do tradycyi francuskiej, poddajesz się starym zwyczajom, władzy przodków.

— Zkąd-że te zwyczaje i tradycya? — spytał Trublet—zkąd-że ten autorytet i władza? Są tradycye, na które się zgodzić nie można, najrozmaitsze zwyczaje, sprzeczne autorytety. Zmarli nie narzucają nam woli jednej. Poddają nas sprzecznym z sobą wolom. Opinie przeszłości, ciężące nad nami, są niepewne, niejasne. Przygniatają nas, niszczą się wzajemnie. Wszyscy ci zmarli żyli w niepokoju i sprzeczności.

Każdy w swoim czasie, na swój sposób marzył o życiu w miłości, czy nienawiści. Teraz my marzyć powinniśmy, z dobrocią i wesołością, jeżeli to możliwe — i chodźmy na śniadanie. Poprowadzę cię do małej dziury, przy ulicy Vavin, do Klementyny, ona robi jedno tylko danie, ale coś nadzwyczajnego: „Cassoulet” Castelnaudary, które niema

nic wspólnego z „cassouletem” na sposób karkasoński, zwykła pieczeń barania z fasolą! „Cassoulet” Castelnaudary zawiera smażone udka gęsie, fasolę, słoninę i malutką kiełbaszkę. Dla smaku musi długo smarzyć się na wolnym ogniu. „Cassoulet” Klementyny smaży się już od lat dwudziestu. Dokłada w rynkę, to kawał gęsi, to słoniny, to kiełbasy lub fasoli, ale to zawsze ten sam „cassoulet”. Grunt pozostaje i właśnie ten starożytny, drogocenny grunt nadaje mu smak rozkoszny, jaki spotykamy w obrazach starych mistrzów, w bursztynowych ciałach kobiet. Chodź, dam ci pokosztować „Cassoulet” Klementyny.

## XI.

Skończywszy pacierz, Nanteuil, nie słuchając przemowy Pradela, wskoczyła do dorożki, ażeby się połączyć z Robertem de Ligny, oczekującym na nią przed dworcem Montparnasse.

Wśród tłumu podali sobie ręce i milcząc, spojrzeli sobie w oczy. Więcej, niż kiedy czuli, że należą do siebie.

Robert kochał ją.

Kochał, nie wiedząc o tem. Była dla niego, tak sądził, tylko rozkoszą, których doznawał w życiu mnóstwo, ale tą rozkosz przybrała kształty Felicji, i gdyby zatrzymał się dłużej myślą nad temi kobietami, które poznać obiecywał sobie w ciągu swego życia, przekonałby się, że teraz wszystkie kobiety były Felicjami. Mógłby spostrzedz przynajmniej, że bez zamiaru zachowania jej wierności, nie myślał jej oszukiwać i od czasu, gdy mu się oddała, nie pragnął innej. Nie zdawał sobie z tego sprawy.

Tym razem jednak, w tem miejscu ruchliwem i banalnem, widząc ją nie w rozkosznych cieniu nocy, nie w pieszczotliwych blaskach alkowy, nadających jej nagim kształtom cudowną mglistość drogi mlecznej, ale w ostrem świetle dnia, w przenikliwych jasnościach słońca, pozwalającego dojrzeć pod woalką powieki łzami spalone, policzki pobladłe i zmięte usta, czuł, że doznaje dla tego ciała żądzdy tajemniczej i głębokiej.

Nie zadawał jej pytań. Zamienili z sobą serdeczne słowa. A ponieważ bardzo była głodna, poprowadził ją do sąsiedniej restauracyi, której szyld, ze złożonych liter złożony, błyszczał zdaleka. Kazali sobie podać jedzenie w ogrodzie zimowym, którego skały, zbiornik wody i drzewa, odbijały lustra w zielone kratki ujęte. Naradzając się nad wyborem dań, rozmawiali swobodniej, niż zwykle. Mówił jej, że wzruszenia i kłopoty trzech ostatnich dni zdeenerwowały go, ale że nie myślał o tem więcej i że to byłoby niedorzecznością zajmować się jeszcze tą sprawą.

Ona opowiadała mu o swem zdrowiu, skarżyła się, że źle sypia, że trapią ją niemiłe sny. Ale nie mówiła mu, co widzi w tych snach, i unikała rozmowy o umarłym. Spytał się, czy ranek nie był dla niej zbyt uciążliwy i gderał, że chodziła aż na cmentarz zupełnie niepotrzebnie.

Nie mogła mu wyjaśnić całej głębi swej duszy, posłusznej rytuałom, ceremoniom błagalnym i zaklęciom, kiwała głową, jakby chcąc powiedzieć: „Należało”.

Gdy przy sąsiednich stołach skończono już spożywać śniadanie, rozmawiali długo, pocichu, czekając aż im posłużą.

Robert obiecał sobie, przysiągł, że nigdy nie zrobi wymówki Felicji dlatego, że miała Chevaliera za ko-

chanka, nie zada jej nawet żadnego w tej kwestyi pytania.

A jednak, wskutej głuchej niechęci, jakiegoś napadu złego humoru, przez neutralną ciekawość, a także dlatego, że zbyt ją kochał, ażeby mógł się powstrzymać, rzekł jej z goryczą:

— Zylaś z nim kiedyś.

Umilkła, nie przeczyła. Nie dlatego, by czuła, że teraz bezużytecznie byłoby kłamać. Przeciwnie, przyzwyczajona była do przeczenia rzeczom najpewniejszym, a przytem, zbyt znała naturę mężczyzn, aby nie wiedzieć, że w miłości niema najpotworniejszego kłamstwa, któremby nie wierzyli, gdyby tego pragnęli

Ale tym razem, wbrew swej naturze i przyzwyczajeniom, nie skłamała.

Bała się obrazić nieboszczyka. Zdawało jej się, że zaparciem się go wyrzuciłaby mu krzywdę, zirytowała by go. Milczała, lękała się, że on tu zjawi się, oprze o stół i ze swym wiecznym uśmiechem i przedziurawioną głową mówić zacznie głosem płaczącym: „Felicjo! przecie nie zapomniałaś o naszym małym pokoiczku przy ulicy des Martyrs”!..

Czem on się stał dla niej od czasu swej śmierci, nie mogłaby określić, tak przechodziło to zakres jej wierzeń, tak było w sprzeczności z jej rozsądkiem i tak słowa, mogące to wyrazić, wydawały jej się śmieszne i wyszłe z użycia. Ale z zabytków dziedziczości, a raczej z kilku opowiadań zasłyszanych w dzieciństwie, wyciągała niejasne poczucie, że on należy do liczby zmarłych, trapiących niegdyś żywych, a których egzeorcyzmowali księża, gdyż myśląc o nim, instyktownie żegnać się zaczynała i powstrzymywała się tylko dla tego, by nie wydać się śmieszna.

Ligty, widząc ją smutną i pomięszaną, wyrzucił sobie ostre i bezużyteczne słowa, a w tejsze sa-

mej chwili dodawał słowa również ostre i beзуżyteczne:

— A mówiłaś mi jednak, że to było nieprawdą!

Odpowiedziała z zapalem:

— A bo widzisz, chciałam, by to było nieprawdą!

Dodała jeszcze:

— A! mój najdroższy, odkąd należę do ciebie, wierz mi, że nie należałabym już do nikogo. To żadna moja zasługa: byłoby to dla mnie wprost niemożliwe.

Jak młode zwierzątko potrzebowała wesołości.

Wino, błyszczące w kieliszku, nakształt roztopionego bursztynu, radowało jej oczy i z rozkoszą zwilżyła niem język. Zajmowały ją podawane potrawy, a szczególnie smażone kartofle, podobne do złotych ampułek... Następnie zwróciła uwagę na współtowarzyszów, zajmujących sąsiednie stoliki i bawiła się ich widokiem, przypisując im śmieszne odczucia i namiętności.

Widziała niechętnie spojrzenia, rzucane jej przez kobiety i usiłowania mężczyzn, by się jej wydać pięknymi i uwagi godnymi. Rzuciła ogólną uwagę:

— Czy zauważyłeś, Robercie, że ludzie nigdy nie są naturalni? Nie mówią tego, co myślą, a tylko to, co im się wydaje, że powiedzieć należy. To przyzwyczajenie robi z nich istoty niezmiernie nudne. Tak rzadko spotkać można kogoś naturalnego. Ty jesteś naturalny.

— Istotnie, zdaje mi się, że nie pozuję.

— Pozujesz, jak inni, ale w tobie to jest w większej zgodzie z naturą twoją. Ja odrazu wiem, kiedy chcesz mnie olśnić!..

Mówiła mu o nim samym i mimowolnie wracając do dramatu z Neuilly, spytała:

— Matka twoja nic nie powiedziała?

— Nic.

— A jednak wiedzieć musiała...

— Zapewne.

— Czy w dobrych z nią jesteś stosunkach?

— Ależ tak!

— Powiadają, że twoja matka bardzo jeszcze jest piękna. Czy to prawda?

Nie odpowiedział, usiłując zmienić temat rozmowy.

Nie lubił, by Felicją mówiła mu o matce i zajmowała się jego rodziną. Państwo de Ligny cieszyli się wysokim poważaniem w towarzystwie paryżkiem. Pan de Ligny, dyplomata z natury i zawodu, był wielce szacunku godnym. Był takim jeszcze przed urodzeniem, dzięki usługom dyplomatycznym oddanym Francji przez przodków jego. Pradziadek jego podpisał zrzeczenie Pondichéry na rzecz Anglików. Pani de Ligny pożycie z mężem było bez zarzutów. Ale nie posiadając żadnego majątku, prowadziła dom na wielką skalę, a toalety jej głośnie były na całą Francję.

Utrzymywała poufałe stosunki z dawnym ambasadorem.

Wiek jego, stanowisko, opinje, tytuły i wielki jego majątek, nadawały cechę powagi temu stosunkowi.

Pani de Ligny trzymała zdaleka damy republiki i gdy się zdarzyło, dawała im lekcje konwenansu. Nie potrzebowała się obawiać opinii eleganckiego świata.

Robert wiedział, że ludzie wielkiego świata odzywają się o niej z szacunkiem. Ale obawiał się zawsze, by mówiąc o niej, Felicja nie zachowała koniecznej ostrożności. Lękał się, by nie należąc do świata, nie powiedziała tego, o czem zamilczeć było trzeba.

Niepotrzebnie się obawiał: Felicja nie znała prywatnego życia pani de Ligny, a gdyby nawet wiedziała coś o tem, nie potępiłaby jej. Dama ta wywoływała w niej naiwną ciekawość i podziw, zmieszany z obawą. W tej niechęci kochanka rozmawiania z nią o matce widziała jakąś dumę arystokratyczną i dowód braku dla siebie szacunku, co burzyło w niej ambycję i dumę dziewczyny plebejuszki. Mówiła kwaśnym tonem: „Mogę przecie rozmawiać o twojej matce”. Kiedyś dodała: „Moja tyle warta, co i twoja”. Ale spostrzegła się, że ta uwaga trąci pospolitością i nie mówiła tego więcej.

Teraz sala pustą była.

Spojrzała na zegarek, a widząc, że już trzecia, zawołała:

— Muszę zmykać. Powtarzają „la Grille” dziś po południu. Constantin-Marc musi już być w teatrze... To też śmieszny chłopiec! Opowiada, że w Vivarais żadna kobieta ująć mu nie może. A tak jest nieśmiały, że nie śmie nawet rozmawiać z Fagette i Falempiną. Ja strach w nim wzbudzam. To mnie bawi.

Tak była zmęczona, iż nie miała odwagi powstać.

— To dziwne doprawdy! powtarzają wszędzie, że jestem zaangażowana do Komedyi Francuskiej! A to nieprawda. Mowy o tem nie było... Rozumie się, że nie pozostanę wiecznie tam, gdzie jestem, możnaby zardzewieć zupełnie. Ale nic nie nagli. Muszę stworzyć wielką rolę w „la Grille”. Później zobaczymy.

Ja muszę koniecznie grać, a wcale nie mam ochoty dostać się do Komedyi Francuskiej, by tam nic nie robić.

Nagle, patrząc przed siebie przerażonemi



oczyma, rzuciła się w tył, zbladła i wydała okrzyk przeraźliwy.

Powieki jej drgać zaczęły, szepnęła, że dusi się.

Robert rozpiął jej stanik i zwilżył skronie wodą.

Przemówiła cichym głosem:

— Ksiądz! widziałam księdza .. był w komży. Wargi jego poruszały się, nie wydając głosu... Spojrzał na mnie.

— Usiłował ją uspokoić:

— Ależ moja droga, jakże przypuszczać możesz, by ksiądz, ksiądz w komży przechodził przez restaurację?

Słuchała posłusznie, chcąc być uspokojoną:

— Masz rację, masz rację, wiem o tem.

Bardzo prędko w jej małej główce złudzenia się rozpraszaly. Urodziła się w dwieście trzydzieści lat po śmierci Kartezjusza, o którym nigdy nie słyszała, a on jednak nauczył ją myśleć, jakby powiedział doktor Sokrates.

O szóstej godzinie po próbie Robert zabrał ją na spacer.

— Dokąd jedziemy?—spytała.

Zawahał się trochę:

— Nie chcesz powrócić tam, do naszego domku.

-- O, nie!—krzyknęła.—Nigdy!

Powiedział, że przypuszczał, iż tak będzie i poszuka czegoś innego; a tymczasem na dziś muszą wziąć mieszkanie, jakie się nadarzy.

Spojrzała na niego, przyciągnęła go gwałtownie do siebie, i na szyi poczuł namiętny jej pocałunek. Potem wypuściła go z uścisku i opadła smutna i bezwładna na poduszki powozu.

Gdy dorożka zatrzymała się—szepnęła.

— Nie weźmiesz mi za złe Robercie, tego, co ci powiem. Prawda? Nie dziś... jutro...

Ofiarę tę uważała za konieczną, dla uspokojenia nieboszczyka.

## XII

Nazajutrz powiózł ją do pokoju umeblowanego, banalnego, lecz wesołego, na pierwszym piętrze hotelu, którego okna wychodziły na skwer.

Po środku skweru, podtrzymywana przez potężne nimfy, wznosiła się fontanna. Aleje wysadzone bukowemi drzewami i trzmieliną, puste były i z tego miejsca, mało uczęszczanego, dochodził stłumiony, ale olbrzymi gwar miasta. Próba bardzo późno się skończyła.

Gdy weszli do pokoju, noc, później przychodzące w tej epoce topnienie śniegów, poczęło zaciemniać obicia. Wielkie lustra, szafy i kominek pełne były tajemniczych cieniów.

Zdjęła futerko, popatrzyła przez okno i rzekła:

— Robercie, wilgotne są stopnie ganku.

Powiedział jej, że ganku niema, jest tylko chodnik, ulice, później inny chodnik i ogrodzenie skweru.

— Paryżanką jesteś, znasz dobrze to miejsce. Po środku, wśród drzew, jest olbrzymia fontanna, z kolosalnemi kobietami.

W niecierpliwości swej pomógł jej rozpiąć sukienną suknię, ale nie mógł znaleźć haftek i po drapał sobie palce o szpilki.

Zawołał:

— Jestem niezręczny!

Ona śmiejąc się odparła:

— Rozumie się, że nie jesteś tak zręczny, jak pani Michon!.. Nie tyle jesteś niezręcznym, jak

boisz się uklóć. Mężczyźni — to tchórze. A tymczasem kobiety muszą się do cierpienia przyzwyczaić... Doprawdy kobietę zawsze coś boli.

Nie zauważył, że jest blada, z wielkimi sińcami pod oczami. Zbyt jej pożądał, by mógł ją widzieć.

Rzekł jej:

— Bardzo są wrażliwe na ból, ale również bardzo są czułe na przyjemność... Czy znasz Claude Bernarda?

— Nie!

— To był wielki uczony. Powiedział, że nie waha się przyznać kobiecie wyższości w dziedzinie wrażliwości fizycznej i moralnej.

— Jeżeli chciał przez to powiedzieć, że wszystkie kobiety są wrażliwe, to nie sprytny z niego ananas. Należało mu posłać Fagette, a przekonałby się, czy to łatwo otrzymać od niej cośkolwiek z dziedziny... jakże on to powiedział?... wrażliwości fizycznej i moralnej.

Dodała jeszcze, pełna słodkiej dumy:

— Bądź przekonany Robercie, że takie kobiety, jak ja, nie rodzą się na kamieniu.

Gdy pociągnął ją ku sobie, wysuwała mu się.

— Nie pozwolisz mi skończyć.

Usiadła i skuliła się.

— Czy wiesz? Doktor Sokrates opowiadał mi któregoś dnia, że miał widzenie. Zobaczył oślarza, co zamordował małą dziewczynkę. Śniłam dziś w nocy o tej historyi, ale we śnie nie byłam pewną, czy oślarz był kobietą, czy mężczyzną. Ale bo też zagmatwany był mój sen!.. A co się tyczy doktora Sokratesa, zgadnij, czyim on jest kochankiem... damy, utrzymującej czytelnię przy ulicy Mazarine. Nie jest już bardzo młoda, ale bardzo inteligentna. Czy myślisz, że on ją oszukuje?...

Opowiedziała mu awanturkę teatralną.

— Zdaje mi się, że stanowczo nie zostaną dłużej w Odeonie.

— Dlaczego?

— Zobaczysz. Pradel powiedział mi dzisiaj przed próbą: „Moja mała Nanteuil, między nami dotąd nic jeszcze nie było. To doprawdy śmieszne...”

Był bardzo na swoim miejscu, ale dał mi do zrozumienia, że jesteśmy względem siebie w dziwnym stosunku, który bez końca trwać nie może... Bo wiesz, że Pradel ustanowił prawidło. Dawniej wybierał między swemi pensyonarkami. Miał faworytki — krzyczano na to. Teraz, dla dobrej administracyi teatru, bierze wszystkie, nawet te, które mu się nie podobają. Niema już faworytek. Wszystko idzie jak należy. A! to prawdziwy dyrektor z tego człowieka.

Ponieważ Robert, leżąc w łóżku, słuchał i nic nie odpowiadał, poszła go zbudzić z zadumy.

— Więc nicby cię to nie obchodziło, gdybym żyła z Pradelem?

— Nie, najdroższa, nie byłoby mi to obojętnem, ale przecie nie to, cobym powiedział, powstrzymało by cię.

Pochylona nad nim, obdarzała go gorącemi pieścizotami, mającemi pozór groźby i kary i krzyczała:

— Więc nie kochasz mnie wcale, kiedy nie jesteś zazdrosnym! Ja chcę, żebyś był zazdrosnym.

Poczem nagle oddaliła się od niego.

— Robertcie, nie przyniosłeś nic z tamtego pokoju?

— Nic.

Wówczas powoli, nieśmiało, wsunęła się do łóżka.

Ale za ledwie się w niem wyciągnęła, wsparła się na łokciu i z wyciągniętą szyją, nawpół otwartymi ustami nasłuchiwała. Zdawało jej się, że sły-  
szy te same lekkie kroki na piasku, które słyszała  
wówczas, na bulwarze de Villiers. Pobieгла do okna,  
ujrzała drzewa, gazon, ogrodzenie. Wiedząc, że coś  
jeszcze zobaczy, chciała ukryć twarz w dłoniach,  
ale nie mogła podnieść rąk, przed nią stanęło  
widmo Chevaliera.

### XIII.

Wróciła do domu w gorączce. Robert zjadł  
obiad z rodziną i udał się do swego mieszkania.  
Postępek Nanteuil zirytował go i wprowadził w naj-  
gorszy humor.

Przygotowane ubranie i koszula, leżąca na  
łóżku, zdawała się oczekiwać w pozie służalczej  
i posłusznej. Zaczął się ubierać gwałtownie. Chciał  
wyjść jak najprędzej. Otworzył okienko, wsłuchi-  
wał się w gwar miasta i ponad dachami spostrzegł  
łunę bijącą w niebo z Paryża. Zdawało mu się, że  
wdycha w siebie zapach tych ciał rozkosznych,  
zgrupowanych w tę noc zimową w teatrach, ka-  
wiarniach, knajpach i barach.

Zirytowany, że Felicja zawiodła jego pragnie-  
nia, zdecydował się szukać zadowolenia gdzieindziej,  
a nie czując żadnego szczególnego pociągu, sądził,  
że ma kłopot tylko z wyborem; ale wkrótce spo-  
strzegł, że nie pożąda żadnej z kobiet znajomych,  
a wcale nie pragnie niezajomych. Zamknął okno  
i usiadł przed kominkiem.

Palił się ogień z koksu; pani de Ligny, no-  
sząca okrycia za dwadzieścia pięć tysięcy franków,  
oszczędzała na jedzeniu i paleniu. Nie pozwalała,  
by palono drzewem w pokojach.

Zaczął rozmyślać o własnych sprawach, któremi się dotąd mało zajmował, o karierze rozpoczętej, niejasno mu się przedstawiającej. Minister był wielkim przyjacielem jego rodziny. Przeszedłszy biedę za młodu, patrzył z podziwem na zasłane kwiatami stoły.

Nazbyt zręczny i sprytny jednak, by nie zachować względem tej starej arystokracji, przyjmującej go uprzejmie, przewagi silnej woli i wyniosłej odmowy, Ligny znał go i nie spodziewał się od niego żadnych łask.

W tem zdradzał więcej od matki przenikliwości, gdyż ona wierzyła, że ma jakąś władzę nad tym małym, czarnym, kosmatym człowiekiem, bywającym co czwartek na jej proszonych obiadach. Czuł w nim jakąś niechęć, a była do tego przyczyna. Robert nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności poprzedził ministra w łaskach u osoby, którą tenże kochał do głupoty, w łaskach u pani de Neilles, damy z półświatka.

Zdawało mu się, że kosmaty, mały człowiek wiedział o tem i krzywo patrzył na niego za to. Zresztą, powstała już taka opinia na Qai d'Orsay, że ministrowie ani mogą, ani pragną czegokolwiek.


Ale nie wymagał zbyt wiele, marzył tylko, by zostać wice - ministrem. Nie chciał porzucać Paryża. Matka przeciwnie, wołała, by się udał do Hagi, gdzie nie zajęta była posada trzeciego sekretarza.

Teraz zdecydował się nagle na Hagę. „Pojadę — rzekł — im prędzej, tem lepiej”. Gdy powziął to postanowienie, zaczął rozpatrywać motywy. Najprzód bardzo to korzystne na przyszłość. Następnie życie w Hadze było przyjemne. Kolega, mieszkający tam niegdyś, chwalił rozkoszną hypokryzyę małej uśpionej stolicy, gdzie wszystko się działo według widzimisię ciała dyplomatycznego. Uważał

nawet, że Haga jest wzniosłą kolebką nowego prawa międzynarodowego, a nawet i tę przyczynę odnalazł, że zrobiliby to przyjemność matce. Ale w końcu przekonał się, że wyjechać chce tylko z powodu Felicyi.

Miewał o niej myśli nie zupełnie dla niej pochlebne. Wiedział, że kłamie, że złą jest dla swych przyjaciółek. Miał dowód, że kochała najgorszego gatunku kabotynów, przynajmniej żyła z nimi. Nie miał pewności, że go nie oszukuje, nie dlatego, by miał coś podejrzanego widzieć w jej życiu, ale dlatego, że wątpił o wszystkich kobietach. Wystawił sobie wszystko zło, co wiedział o niej, i wmawiał w siebie, że ona jest „nic dobrego,” a czując, że ją kocha, sądził, że kocha jedynie za jej piękność. Przyczyna ta wydawała mu się dobrą, ale rozpatrwszy się w niej spostrzegł, że ona nic nie tłumaczy, że kochał tę dziewczynę nie dlatego, że jest ładną, ale że jest ładną na swój sposób dziwnie, że jest coś w niej niezrównanego i wyjątkowego, że nareszcie jest ona tem cudownem dziełem sztuki i rozkoszy, żywym klejnotem nie mającym ceny. Wówczas, czując się słabym, płakał; opłakiwał swą utraconą wolność, myśl uwięzioną, duszę zmąconą, ciało i krew oddane słabej, przewrotnej istocie. Patrząc w czerwone węgle kominka, rozdrażnił oczy i przymknąwszy je z bólu, ujrzał chmarę murzynów, kręcących się w krwawym, wstrętnym obrazie.

Gdy usiłował przypomnieć sobie, w jakiej podróży czytanej za młodu występowali ci murzyni, zaczęli oni przybierać kształty coraz mniejsze, w końcu rozprysnęli się w małe punkciki i zginęli w Afryce czerwonej, coraz wyraźniej przypominającej ranę, widzianą przy błysku zapalki w noc samobójstwa.

Pomyślał: 

— Ten głupiec Chevalier, a ja już o nim zapomniałem.

Nagle na tem tle krwawem i ognistem ukazały się gibkie kształty Felicji i poczuł w sobie żądzę okrutną, płomienną.

#### XIV.

Nazajutrz rano poszedł odwiedzić ją w jej mieszkaniu, na bulwarze Saint-Michel. Nie było to jego zwyczajem. Nie lubił spotykać się z panią Nanteuil, chociaż była ona dla niego bardzo grzeczna, a nawet pokorna, ale nudziła go i przeszkadzała mu.

Właśnie ona przyjęła go w skromnym saloniku. Dziękowała za okazywane zajęcie się zdrowiem Felicji, objaśniła go, że biedne dziecko wczoraj było niespokojne i cierpiące, ale, że teraz czuje się lepiej.

— Opracowuje rolę w swoim pokoju. Uprzedzę ją o pańskim przybyciu. Bardzo będzie kontenta, widząc pana. Ona wie, że pan ją lubi bardzo, a prawdziwi przyjaciele są rzadkością, szczególnie w teatrze.

Robert przypatrywał się pani Nanteuil z większą niż dotąd uwagą. Szukał w niej dowodów, jak też jej córka później wyglądać będzie. Chętnie w twarzach matek doszukiwał się przyszłości córek. Tym razem, pomimo uporczywego badania, nie wyrył nic ani złego, ani dobrego.

Pani Nanteuil, pulchna, z cerą świeżą, wypoczęta, przyjemnie wyglądała w bogactwie swego ciała, ale córka zupełnie nie była do niej podobną. Widząc ją spokojną, zrównoważoną, rzekł:

— Pani nie jest nerwową?

— Nigdy nią nie byłam. Moja córka nie po-



szła po mnie. To żywy portret ojca. On był delikatnego zdrowia, chociaż rzadko chorował. Umarł wskutek upadku z konia. Wypije pan szklanę herbaty, prawda?

Weszła Felicja. Ubrana była w biały wełniany szlafrok, ujęty w pasie pasmanterją, czerwone pantofelki z nóg jej spadały, a rozpuszczone na ramiona włosy nadawały jej wygląd dziecka. Przyjaciel domu, Tony Meyer, handlarz obrazami, widząc ją w tym stroju, trochę zakonnym, nadał jej miano: „brata Anioła de Charolais”, gdyż znajdował, że podobną jest do portretu Nattiera, przedstawiającego pannę de Charolais w habicie franciszkanina. Robert stał zdziwiony i milczący przed tą dziewczyną.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, żeś mnie odwiedził—rzekła.—Dziękuję panu. Lepiej się czuję.

— Ona pracuje bardzo, za wiele—rzekła pani Nanteuil. Jej rola w „la Grille” męczy ją.

— Ależ nie, mamó.

Mówiono o teatrze i rozmowa rwała się.

W chwili ciszy pani Nanteuil spytała pana de Ligny, czy zawsze wyszukuje stare wzory mód.

Felicja i Robert spojrzeli na nią, nie rozumiejąc.

Opowiadali jej o tych wzorach, chcąc upożyczyć schadzki, z którymi ukryć się nie mogli. Ale zapomnieli zupełnie o tem. Od tego czasu kawałek księżycy, jakby powiedział stary autor, wpadł w ich miłość; jedna pani Nanteuil, przesiąknięta szacunkiem dla pozorów, pamiętała jeszcze.

— Córka mi mówiła, że pan posiada wielki zbiór tych wzorów i że ona z nich czerpie pomysły do swych kostyumów.

— Ależ tak, pani, tak.

— Panie de Ligny — rzekła Felicja — proszę do mego pokoju. Chcę panu pokazać projekt kostiumu do Cecylji de Rochemaure.

Pociągnęła go do swego pokoju.

Był to mały pokoik, oklejony papierem w kwiatki, znajdowała się tam szafa z lustrem, dwa krzesła, żelazne łóżko, białą kapą zakryte, a nad niem wisiał obrazek i gałązka bukszpanu.

Wycisnęła długi pocałunek na jego ustach.

— Kocham cię, wiesz!

— Napewno?

— O! tak. A ty?

— Ja również kocham cię. Nie przypuszczałem, że mogę cię tak kochać.

— Więc to później przyszło?

— To zawsze później przychodzi.

— Prawdę mówisz, Robercie. Przed tem nigdy się nie wie.

Potrząsnęła głową.

— Wczoraj bardzo byłam chora.

— Widziałś Trubleta, cóż on ci powiedział?

— Powiedział, że odpoczynek, spokój jest konieczny... Mój najdroższy, musimy być rozsądni jeszcze przez jakie dwa tygodnie. Gniewa cię to?

— Rozumie się.

— Mnie także. Ale cóż chcesz?...

Obszedł parę razy pokój, zaglądając do kątów. Patrzyła na niego trochę zaniepokojona, lękając się, że rozpytywać ją zacznie o te biedne klejnociki i cacka, skromne dary, których pochodzenie jednak nie zawsze można objaśnić. Mówi się, co się chce naturalnie, ale można się złapać i mieć przykrość, a to doprawdy nie warto. Odwróciła jego uwagę.

— Robercie, otwórz pudełko od rękawiczek.

— Cóż tam jest w tem pudełku od rękawiczek?

— Fijołki, które mi dałeś za pierwszym ra-

zem. Mój drogi, nie opuszczaj mnie. Nie odjeżdżaj!...

— Gdy pomyślę, że możesz z dnia na dzień odjechać do Londynu, Konstantynopola—waryuję!

Uspokoił ją; powiedział, że chciano go wysłać do Hagi. Ale że on nie pojedzie, że zostanie towarzyszem ministra.

— Przrzekasz mi to?

Przrzekł szczerze. Felicja wpadła w wielką wesołość. Pokazując mu szafę z lustrem, mówiła:

Widzisz, najdroższy, tak uczę się swych ról. Gdy przyszedłeś, studyowałam scenę czwartego. Korzystam z samotności i usiłuję wpaść we właściwy ton, staram się mówić płynnie i dobitnie. Gdybym słuchała Romilly'ego wpadłabym w maskineryę. Muszę powiedzieć: „Nie boję się pana!“. To największy efekt roli. Czy wiesz, jak Romilly chce, żebym powiedziała? Wytłomaczę ci to. Mam rękę przytknąć do nosa, rozszerzyć palce i podnosić każdy, przy oderwanem wymawianiu wyrazów: „Ja, nie, boję się, pana!“ I to ma być dowcipne i wytworne. Także pomysł?

Podnosząc nagle włosy i odkrywając śmiałe czoło, zawołała:

— Ja ci pokażę, jak ja to zrobię!

Przeistoczyła się raptem i jakby urosła, wymawiając z naiwną dumą i spokojną niewinnością:

— „Nie, panie, nie lękam się ciebie. Dlaczegoż bać bym się miała? Myślałeś, że wpadnę w pułapkę i zdałeś się pan na moją łaskę. Jesteś człowiekiem honoru. Teraz, gdy jestem pod pańskim dachem, powiesz to, co powiedziałeś panu d'Amberre, wrogowi swemu, gdy przekroczył próg tego domu. Powiesz mi pan: „Jesteś u siebie, rozkazuj!“

Miała dar tajemniczy zmieniania duszy swej

i fizyognomii. Ligny pozostawał pod urokiem pięknego kłamstwa.

— Jesteś zadziwiająca!

— Słuchaj, mój kotku. Będę miała duży płócienny czepek. Bo wiesz, że w sztuce przedstawiam młodą dziewczynę z czasów Rewolucyi. Muszę to dać odczuć. Muszę dyszeć Rewolucyą — rozumiesz?

— Wiesz coś o Rewolucyi?

— Ależ tak!... Nie znam dat, naturalnie. Ale czuję epokę. Dla mnie rewolucya, to znaczy mieć dumną pierś pod skrzyżowaną chusteczką, a kolana swobodne w pasiastej spódnicy i pałające policzki. Ot co!

Zadawał jej pytania o sztuce i spostrzegł, że jej wcale nie zna. Nie potrzebowała jej znać. Odgadywała, instynktem znajdowała, co jej było potrzebne.

— Na próbach nie zdradzam się z żadnym z moich efektów. Zachowuję wszystko dla publiczności. Romilly zsinieje... wściekli będą wszyscy... O! mój drogi, Fagette rozchoruje się z pewnością.

Usiadła na wążkiem krzeselku. Czoło jej, przed chwilą białe jak marmur, zaróżowiło się; wyglądała znów jak mała dziewczynka.

Zbliżył się do niej i spojrzał w szare, piękne oczy i, jak wczoraj wieczorem przy ogniu kominka pomyślał, że ona kłamie i złą jest dla swych przyjaciółek; ale teraz był dla niej pobłażliwym. Pomyślał, że ona kocha najgorszego gatunku kabotynów, a przynajmniej żyje z nimi; ale tylko litość czuł dla niej; przypomniał sobie wszystko złe, co wiedział o niej, ale bez goryczy. Czuł, że ją kocha, mniej dlatego, że jest ładna, ale że jest nią na swój sposób; kochał ją za to, że jest żywym klejnotem, nieporównanem dziełem sztuki i rozkoszy. Spojrzał w te piękne szare oczy, w te źrenice, gdzie pod pełną

błysków wilgocią pływały jakby znaki astrologiczne. Patrzył na nią tak głębokiem spojrzeniem, iż czuła, że przenika ją nawskroś. Pewną będąc, że czytał w jej duszy, rzekła mu, patrząc prosto w oczy i tułąc głowę jego w swych dłoniach:

— A więc tak! jestem brudną kabotyńką; ale kocham cię i kpię sobie z pieniędzy. A niewiele jest takich, jak ja. I ty wiesz o tem.

## XV.

Widywali się co dzień w teatrze i odbywali razem piesze spacerki.

Nanteuil grała prawie co wieczór i pracowała z zapałem nad rolą Cecylii. Odzyskiwała powoli spokój, noce nie były tak gorączkowe, nie zmuszała matki, by trzymała ją za rękę, gdy usypiała, nie dusiła się we śnie. Upłynęło tak parę tygodni. Raptem pewnego poranku, gdy siedząc przy toalecie czesała się, pochyliła się do lustra, gdyż ciemnawo było i ujrzała nie swoją twarz, lecz twarz nieboszczyka. Struga krwi płynęła mu z ust; śmiał się i patrzył na nią. Wówczas zrobiła to, co sądziła, że uczynić należy. Wzięła powóz i pojechała go odwiedzić. Przejeżdżając przez bulwar Saint-Michel, kupiła u swej kwiaciarki wiązkę róż. Powiozła mu je. Ukłękła przy małym czarnym krzyżyku, oznaczającym miejsce, gdzie go złożono. Przemawiała do niego. Prosiła, by zostawił ją w spokoju i był rozsądnym. Prosiła o przebaczenie, że go niegdyś ostro traktowała. Wszak w życiu nie zawsze można żyć w zgodzie. Ale on teraz powinien rozumieć i przebaczyć. Cóż mu z tego przyjdzie, że ją dręczy? Ona pragnie zachować o nim jak najlepsze wspomnienie.

Od czasu do czasu będzie go odwiedzała. Ale niechże przestanie ją prześladować i straszyć.

Usiłowała pochlebić mu i uspić go słodkimi słowy:

— Rozumiem, że chciałeś się zemścić. To naturalne. Ale w gruncie nie jesteś złym. Nie gniewaj się więcej. Nie przestraszaj mnie, nie przychodź więcej. Ja będę często przychodziła. Kwiaty ci przyniosę.

Miała wielką ochotę oszukać go, uspić go fałszywymi obietnicami, powiedzieć mu:

„Leż spokojnie, nie ruszaj się więcej, a ja ci obiecuję, że nie uczynię nic, co by ci mogło być nieprzyjemnem, będę posłuszną twej woli.” Ale ona nie śmiała kłamać na grobie i była pewną, że to na nic się nie zda, gdyż umarli wiedzą wszystko.

Zmęczona trochę, powtarzała jeszcze swe prośby i modlitwy i spostrzegła, że nie doznaje już wstrętu, jaki budziły w niej groby i tym razem nie obawiała się już zmarłego. Badała przyczynę tego i przekonała się, że strachu w niej nie budził, gdyż nie było go tutaj.

Pomyślała:

— Niema go tu, nigdy tu nie jest; przebywa wszędzie, tylko nie tam, gdzie go złożono. Jest na ulicach, w domach, w pokojach.

Powstała zrozpaczona, pewna teraz, że go wszędzie spotkać może, ale nie na cmentarzu.

## XVI.

Po upływie dwóch tygodni Ligny upierał się, by wróciła do dawnego życia. Termin, który sama naznaczyła, minął. Nie chciał czekać dłużej. Cier-

pięła na równi z nim, nie mogąc się mu oddawać, ale lękała się, by zmarły znów się jej nie ukazał. Wynajdywała niezręczne wybiegi, by odwlec schadzkę, w końcu wyznała, że się boi. Gardził nią za ten brak rozsądku i odwagi. Nie czuł miłości jej i wypowiedział ostre słowa.

Prześladował ją ciągle swą żądzą.

Przyszły dni smutne, godziny nieznośne. Ponieważ nie śmiała wejść z nim pod dach, wsiadali do powozu i po długiej przejażdżce po przedmieściach wysiadali w alejach i chodzili wielkimi krokami, wśród wiatru wschodniego, jakby gnani niewidzialnym podmuchem gniewu.

Pewnego dnia jednak powietrze tak było łagodne, że ich przeniknęło słodyczą swą. Szli obok siebie pustymi alejami lasku. Pęczki, zaczynające nabrzmiewać na końcach cienkich, czarnych gałęzi, nadawały szczytom drzew barwę fioletową na tle różowego nieba. Na lewo ciągnęła się łąka, usiana nagimi jeszcze drzewami, po za nią widać było domy Anteuil. Wolno toczyły się zamknięte powozy, w których siedzieli staruszkowie, mamki pchały przed sobą wózki dziecinne. Automobil przebiegł wówczas cichą aleję.

— Lubisz te maszyny? — spytała Felicya.

— Znajduję, że są wygodne, oto wszystko.

Co prawda, nie uprawiał żadnego sportu, zajmował się tylko kobietami.

Wskazując na mijający ich powóz, Felicya spytała.

— Robercie, widziałeś?

— Nie.

— Siedziała tam Joanna Perrin z jakąś kobietą.

Ponieważ zachował spokojną obojętność na tę wieść, zawołała z wymówką:

— Jesteś jak doktor Sokrates; uważasz to za rzecz naturalną?

Jasne, spokojne jezioro spało w cieniu ciemnych świerków. Poszli na prawo, ścieżką wytkniętą nad brzegiem, gdzie białe gęsi i łabędzie gładziły swe pióra. Na ich widok przypląnęła ku nim cała flotyła kaczek.

Felicja smutnym głosem rzekła im, że nic dla nich nie przyniosła.

— Gdy byłam małą—dodała—tatuś przyprowadzał mnie tutaj w niedzielę, bym je mogła chlebem karmić. Było to dla mnie nagrodą za dobrą pracę całego tygodnia. Tatuś lubił wieś, psy, konie, wszystkie zwierzęta. Bardzo był łagodny, inteligentny. Pracował ciężko. Ale oficer bez majątku nie łatwo utrzymać się może. Cierpiał nad tem, że nie mógł tak żyć, jak bogatsi koledzy, a przytem nie dobrali się z mamą. Ojciec nie był szczęśliwy, często bywał smutny. Mówił mało, ale bez słów rozumieliśmy się doskonale. Kochał mnie bardzo...— Robercie kiedyś, kiedyś, będę miała domek na wsi. Gdy do mnie przyjeżdżać będziesz, najdroższy, znajdziesz mnie w krótkiej spódnicy, karmiącą ziarnem kury.

Spytał ją, zkąd przyszła jej myśl wstąpienia do teatru.

— Wiedziałam, że zamaż nie wyjdę, bo nie mam posagu. A życie przyjaciółek moich w magazynach mód i telegrafach wcale mnie nie zachęcało. Malutką będąc już myślałam o teatrze. Na pensyi grałam w jakiejś sztuczce w dzień św. Mikołaja. Sprawilo mi to przyjemność. Przełożona mówiła, że gram źle; ale to dlatego, że mama dłużną jej była za trzy miesiące. Od piętnastego roku życia poważnie myślałam o teatrze. Wstąpiłam do szkoły



dramatycznej. Pracowałam, bardzo pracowałam. Męczącym jest nasz fach, ale gdy ma się powodzenie, zapomina się o zmęczeniu.

Koło szaleciku znaleźli łódź przytwierdzoną do pali. Robert wskoczył pierwszy, pociągając za sobą Felicyę.

— Piękne są te wielkie drzewa, nawet bez liści—rzekła Felicya — ale myślałam, że w tej porze roku szalec zamknięty. Przewoźnik odpowiedział, że w piękne dni zimowe goście chętnie jeżdżą na wyspę, ot nawet przed chwilą powiózł tam dwie damy.

Pojechali.

Podano im herbatę w skromnym saloniku, gdzie stały dwa krzesła, stół, fortepian i kanapa. W parkiecie były dziury, futrowanie zbutwiałe. Spojrzała przez okno na gazon i wielkie drzewa.

— Co to jest ta duża ciemna kula w topoli?— spytała Felicya.

— To jemiola — najdroższa.

— Wygląda jak zwierzę obejmujące gałęź i pożerające ją. Nieprzyjemny widok.

Złożyła głowę na ramieniu przyjaciela, szepcząc miłośnie.

— Kocham cię.

Pociągnął ją na kanapę. Czują obejmujące ją ramiona i niecierpliwe ręce, szukające jej ciała, nie opierała się. zniechęcona, nieruchoma, przeczuwając, że próżne będą jego usiłowania. W uszach jej dzwoniło.

Gdy to przeszło, usłyszała po prawej stronie głos dziwny, jasny, lodowaty: „Zabraniam wam należeć do siebie”. Zdawało jej się, że ten głos przemawia z jakiejś jasności w górze, ale nie śmiała odwrócić głowy. Był to głos nieznany. Mimowolnie usiłowała przypomnieć sobie dawny jego głos i spo-

strzegła, że zapomniała, jaki był jego dźwięk i że już nigdy go nie odnajdzie. Pomyślała: „Może on teraz ma taki głos”. Przerazona, zacisnęła suknię na kolanach. Powstrzymała okrzyk i nie mówiła o tem, co słyszała, z obawy, by jej nie wziął za wariatkę i rozumiejąc doskonale, że to nie było rzeczywistością.

Ligny oddalił się.

— Jeżeli nie chcesz mnie więcej, powiedz otwarcie. Siłą brać cię nie będę!

Usiadła wyprostowana i rzekła:

— Gdy jesteśmy w tłumie, gdy ludzie nas otaczają, pragnę cię, požądam, a jak tylko znajdziemy się sami—boję się.

— A! jeżeli dla podniecenia potrzeba ci świadków....

Wstała, podeszła do okna. Łza spływała po jej policzku. Długo płakała w milczeniu. Nagle zawołała:

— Chodź! patrz!

Wskazała mu Joannę Perrin, przechadzającą się po gazonie w towarzystwie młodej kobiety. Trzymały się w pół, podawały sobie fijołki i uśmiechały się.

— Patrz! ona szczęśliwa i spokojna ta kobieta.

Joanna Perrin, rozkoszując się spokojem swych przyzwyczajęń, spacerowała zadowolona i szczęśliwa, nie zdradzając nawet dumy ze swych szczególnych upodobań!

Felicya patrzyła na nią z ciekawością, do której się przed samą sobą nie przyznawała, i zazdrościła jej tego spokoju.

-- Ona się nie boi.

— Dajże jej spokój. Co ona nam szkodzi?

Gorączkowo objął ją w pół.

Wyrwała mu się, drżąc cała. W końcu, zawiadziony, upokorzony, wpadł w gniew, nazwał ją głupią, przysiągł, że nie zniesie dłużej tych śmiesznych ceregieli.

Nic nie odpowiedziała i znów płakać zaczęła.

Zirytowany jej łzami, mówił ostrym tonem:

— Ponieważ nie możesz mi dać tego, o co proszę, nie potrzebujemy widywać się więcej. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Zresztą widzę, że już mnie nie kochasz. Przyznałabyś to, gdybyś choć raz musiała powiedzieć prawdę: kochałaś tylko tego nędznego kaboty.

Wówczas wpadła w złość i krzyknęła rozpaczliwie:

— Kłamco! kłamco! To wstrętne, co mówisz. Widzisz, że płaczę i chcesz zwiększyć moje cierpienia. Korzystasz z mej miłości, by mnie uczynić nieszczęśliwą. To podle! A więc tak, nie kocham cię. Idź sobie! Nie chcę cię widzieć więcej... Idź sobie... Ale doprawdy, cóż my robimy? Czyż tak całe życie patrzeć na siebie będziemy ze wściekłością, rozpaczą i furją. To nie moja wina... Nie mogę, nie mogę. Daruj, najdroższy, kochanku mój. Kocham cię, ubóstwiam, pożądam. Ale odpędź go. Ty go zabiłeś, nie ja. Ty. Zabij go więc zupełnie... Zmysły tracę, Boże mój! ja waryuję.

Nazajutrz Ligny poprosił, by go wysłano w charakterze trzeciego sekretarza do Hagi. Dostał nominację w ośm dni później i wyjechał, nie widząc więcej Felicji.

## XVII.

Pani Nanteuil myślała tylko o córce. Stosunek jej z Tony Meyerem, handlarzem obrazów z ulicy

de Clichy, zostawiał jej dużo czasu i nie zajmował serca. W teatrze spotkała fabrykanta aparatów elektrycznych, młodego jeszcze, niezmiernie grzecznego, pana Bondois.

Kochliwego temperamentu, a nieśmiałego charakteru, pożądał kobiet brzydkich i niemłodych, gdyż piękne i młode strach w nim wzbudzały. Pani Nanteuil była jeszcze bardzo przyjemną. Ale pewnego wieczora, gdy źle była ubraną i brzydko wyglądała, zrobił jej propozycję. Przyjęła go, aby dom móżdź utrzymać i aby córce na niczem nie zbywało. Poświęcenie to dało jej szczęście. Pan Bondois kochał ją i gorące składał jej tego dowody. Zdziwiona z początku — później szczęśliwa była i spokojna; miłość wydała jej się słodką i dobrą, nie czuła się wcale starą, wszak przekonała się, że kochaną być jeszcze może. Zawsze była uprzejmą, łagodnego i równego usposobienia. Ale nigdy dotąd nie była takim dobroczynnym duchem domu. Słodka dla innych i dla siebie, w godzinach niepowodzenia zachowująca uśmiech, odkrywający piękne zęby i żłobiący dołeczki w pulchnych policzkach, wdzięczna za to, co jej życie dało, kwitnąca, rozpromieniona, była radością i młodością domu.

Gdy pani Nanteuil śmiała się i wyrażała myśli tylko wesołe i jasne, Felicja stawała się ponurą, nadętą i smutną. Tworzyły się fałdy na jej ładnej twarzyczce; głos zgrzytliwym się zrobił. Odrazu zrozumiała, jakie stanowisko w domu zajmuje pan Bondois i czy wolała, by matka żyła tylko dla niej, czy cierpiała w swej miłości dziecięcej, że zmuszoną była mniej ją szanować, czy zazdrościła jej przyjemności, albo też doznawała niesmaku, sprawianego sprawami miłości, gdy się zbyt blisko nas odbywają, dość, że Felicja każdego dnia, szczególnie w czasie obiadu i śniadania, wymawiała gorzko pani Nanteuil,

dość jasno i wyraźnie nowego przyjaciela domu, a panu Bondois, ile razy go spotkała, okazywała wymowną nienawiść i obrzydzenie. Pani Nanteuil odczuwała lekką tylko przykrość z tego powodu i tłumaczyła córkę tem, że dzieckiem jest jeszcze i niema żadnego doświadczenia życiowego. Pan Bondois, w którym Felicja wzbudzała nadludzki strach, usiłował ułagodzić ją oznakami wielkiego szacunku i małemi prezentami.

Gwałtowną była, ponieważ cierpiała.

Listy, jakie otrzymywała z Hagi, drażniły jej miłość. Więdną, dręczoną palącemi wizjami. Gdy widziała zbyt wyraźnie nieobecnego swego przyjaciela, huczało jej w skroniach, serce biło gwałtownie, mrok gęsty powstawał w jej głowie; cała wrażliwość nerwów, cały żar krwi, wszystkie siły jej istoty zlewały się w jedno i spływały w jednym potężnem pragnieniu w głębię jej istoty. Wówczas myślała tylko o odszukaniu Ligny'ego. Jego tylko chciała i dziwiła się sama odrazie, jaką doznawała dla innych. Dotąd bowiem instynkt jej nie był tak ekskluzywnym. Obiecywała sobie, że zaraz poprosi o pieniądze Bondois i pojedzie do Hagi. Nie robiła jednak tego. Powstrzymywała ją nie tyle obawa, że może się nie podobać kochankowi podróż, którą zapewne uważać będzie za niewłaściwą, ile niejasne obawy zbudzenia cieniu.

Od wyjazdu Ligny'ego nie widziała go już. Ale działały się w niej i naokoło niej rzeczy niepokojące. Na ulicy chodził za nią jakiś brodac, który ukazywał się i znikał nagle. Pewnego dnia, gdy leżała jeszcze w łóżku, matka powiedziała: „idę do szwaczki” i wyszła.

W parę minut potem Felicja widziała ją wracającą do pokoju, jakby czegoś zapomniała. Ale

widzenie zbliżyło się bez spojrzenia, słowa, głosu i znikło, dotknąwszy łóżka.

Miała złudzenia bardziej niepokojące. Pewnej niedzieli grała na porannem przedstawieniu rolę młodego Zacharya w „Athalie”. Ponieważ miała bardzo ładne nogi, przebranie to podobało się jej, rada była również, że może się popisać umiejętnością deklamowania wierszy. Ale spostrzegła, że w pierwszym rzędzie krzesel siedzi ksiądz w sutannie. To nie po raz pierwszy duchowny asystował przy przedstawieniu tragedji, osnutej na tle Pisma Świętego. Jednak doznała przykrego wrażenia. Gdy weszła na scenę, widziała wyraźnie Ludwikę Dalle, w turbanie Jozabethy, jak nabijała rewolwer przed budką suflera. Miała dość przytomności umysłu, by odpuścić te niedorzeczną wizję, która istotnie znikła.

Ale pierwsze wiersze wypowiedziała głosem stłumionym. Czuła palenie w żołądku, cierpiała z powodu duszności; czasami, bez przyczyny, jakiś nieokreślony ból targał jej wnętrznościami, serce biło waryackiem tempem, sądziła, że umiera.

Doktór Trublet leczył ją niezmiernie ostrożnie. Widywała go często w teatrze, a czasami chodziła o poradę do jego mieszkania, przy ulicy de Seine. Nie przechodziła przez salon; służący wprowadzał ją do stołowego pokoju, gdzie błyszcząły fajanse arabskie i ona zawsze pierwsza dostawała się do gabinetu doktora.

Pewnego dnia Sokrates zdołał jej wytłómaczyć, w jaki sposób powstają w mózgu obrazy i jak te obrazy nie zawsze pozostają w stosunku do przedmiotów zewnętrznych, lub przynajmniej nie zawsze ściśle wiążą się z niemi.

— Halucynacye—dodał — są najczęściej tylko fałszywemi percepcjami. Widzi się, co jest, ale widzi się źle i z pióra — robi się głowę najeżoną,

z czerwonego gwoździka—paszczę potwora, z koszu-  
li—widmo w całunie.

W tych rozumowaniach znajdowała siłę do odpędzania wizyi psów, kotów, lub osób żywych i znanych.

Ale lękała się ujrzeć zmarłego. Mistyczne obawy, gnieźdzące się w najtajniejszych zakątkach jej mózgu, silniejsze były od słów uczonego męża. Chociaż powtarzano jej, że umarli nie wracają nigdy, ona wiedziała, że jest inaczej.

Sokrates zalecał jej raz jeszcze, by się rozry-  
wała, odwiedzała znajomych, przeważnie przyjemnych i unikała jak największych wrogów — cieniów i samotności.

Dodał jeszcze tę uwagę:

— Przedewszystkiem unikaj osób i rzeczy, mogących mieć jakikolwiek związek z przedmiotem twych wizyj.

Nie zauważył, że jest to niemożliwe. I Nanteuil nie spostrzegła tego również.

— Więc wyleczysz mnie, dobry Sokratesie?— rzekła, zwracając ku niemu ładne, szare oczy, pełne gorącej prośby.

— Sama się wyleczysz, dziecko moje. Wyleczysz się, gdyż zarazem dzielną jesteś i obawiasz się. Boisz się niebezpieczeństwa, ale nie tracisz ochoty do życia. Wyleczysz się, bo nie sympatyzujesz z cierpieniem i bólem. Wyleczysz się, bo chcesz się wyleczyć.

— Więc wierzysz, że można się wyleczyć, kiedy się chce?

— Tak, gdy się chce w pewien właściwy, wewnętrzny sposób, gdy tego komórki nasze chcą, gdy się pragnie wola, głuchą, potężną, tego silnego drzewa, chcącego zazielenić się na wiosnę.

## XVIII.

Nocy tej, nie mogąc usnąć, przewracała się w łóżku, odrzucając kołdrę. Czuła, że sen nadejdzie dopiero z pierwszymi promieniami dnia, pełnymi złotawego pyłu, przeciskającymi się przez szczeliny firanek. Lampka nocna, której gorejące serduszko błyszczało poprzez porcelanę, była dla niej towarzyszką mistyczną, swojską. Felicja podniosła powieki i chłonęła spojrzeniem to światło białe, mleczne, działające na nią kojąco. Następnie, zamknąwszy oczy, wróciła do dawnej nudy i bezsenności. Chwilami przychodziły jej na myśl zdania z jej roli, do których nie przywiązywała żadnego znaczenia, a które jej spokoju nie dawały: „Dnie nasze są takie, jakimi je tworzymy”. Umysł jej męczył się powtarzaniem nieustannem czterech, czy pięciu myśli.

— Muszę jutro przymierzyć swoją suknię u pani Royaumont. Wczoraj weszłam z Fagette do garderoby Joanny Perrin, ta, ubierając się, pokazywała kosmate nogi, jakby z nich dumną była. Ona nie jest brzydką; Joanna Perrin ma nawet ładną głowę, ale właśnie wyraz jej nie podoba mi się. Jakim sposobem pani Colbert może domagać się trzydziestu dwóch franków? Czternaście a trzy—siedmnaście, a dziewięć—dwadzieścia sześć.

Należy jej się tylko dwadzieścia sześć franków. Dnie nasze są takie... Ach! jak mi gorąco!

Jednym rzutem gibkich bioder odwróciła się i nagie jej ramiona rozwarły się by objąć powietrze, jak ciało subtelne i świeże.

— Zdaje mi się, że już od wieków Robert wyjechał. To brzydko z jego strony, że mnie samą zostawił. Tęsknię za nim.

Skulona w łóżku, przypominała sobie, jak to było, gdy tulili się do siebie. Wołała na niego:



— Mój kotku! złoto moje!

Znów te same myśli zaczęły kotłować w jej głowie:

„Nasze dni są takie... nasze dni są takie... Czternaście a trzy — siedemnaście, a dziewięć — dwadzieścia sześć. Widziałam, że Joanna Perrin umyślnie pokazywała swe długie męzkie nogi, ciemne od włosów? Jutro o czwartej muszę przymierzyć suknię. Jedna rzecz jest okropna, że pani Royamont nie umie dobrze przyszywać rękawów. Ach! jak mi gorąco! Sokrates dobrym jest doktorem. Ale czasami lubi ogłupiać ludzi.

Nagle pomyślała o Chevalierze i czuła wpływ jego, spływający po ścianach pokoju. Zdawało jej nawet, że wskutek tego lampa ciemniej się paliła. To mniejsze było niż cień, a jednak niepokojące. Raptem przyszła jej myśl, że ta rzecz subtelna pochodziła z fotografii zmarłego. Nie miała ani jednej w swoim pokoju. Ale w mieszkaniu znajdowały się jeszcze inne, których zniszczyć nie zdołała. Policzyła je w myśli starannie i przekonana była, że zostały się trzy: jedna wyobrażała go w młodzieńczych latach na mglistem tle; druga — śmiejącego się i siedzącego konno na krześle a trzecia w kostymie don Cezara de Bazan. W tej chęci zniszczenia, wyskoczyła z łóżka, zapaliła zapalniczkę i ciągnąc swe pantofle, wsunęła się do salonu, do stołu palisandrowego podeszła, a podniósłszy serwetę, przerzucać zaczęła w szufladzie. Były tam rozmaite dzetony, kawałki drzewa od mebli odklejone, dwa czy trzy wieszadła szklane i kilka fotografii, między którymi znalazła jedną Chevaliera w mglistem tle.

Szukała dwóch ostatnich w małym stoliczku, stojącym między oknami, na którym stały lampy chińskie. Tam spoczywały kawałki szkła, abażury, kryształowe kubeczki z brązowymi brzegami, zapal-

niczka z malowanej porcelany, ozdobiona śpiącym obok ptaka dzieckiem, stare książki, podarte partycye, dwa złamane wachlarze i kupka fotografii.

Znalazła drugiego Chevaliera „don Cezara de Bazan”. Ostatniego nie było. Napróżno zadawała sobie pytanie, gdzie go wpakować mogli. Daremnie szukała w pudełkach, wazach, etażerze na nuty. I gdy go tak gorąco poszukiwała, fotografia rosła w jej imaginacyi, dochodziła wzrostu człowieka, przybierała minę szyderczą, drwiącą. Głowa jej pałała, nogi miała zimne jak lód, a strach przenikał ją do głębi. W chwili, gdy miała zaniechać poszukiwań, chciała wrócić do łóżka i skryć głowę pod poduszkami, przypomniała sobie, że matka chowała fotografie w lustrzanej szafie. Wróciła jej odwaga. Ostrożnie weszła do pokoju śpiącej pani Nanteuil, na palcach podeszła do szafy, powoli ją otworzyła, bez hałasu weszła na krzesło i przeszukiwać zaczęła najwyższą półkę, zapełnioną starymi pudełkami.

Znalazła jakieś album z czasów drugiego cesarstwa, nieotwierane od lat dwudziestu. Rozrzuciła kupę listów, zwoje starych papierów i kwitów lombardowych.

Zbudzona światłem świecy i delikatnym szmerem czynionym przez córkę, pani Nanteuil spytała:  
— Kto tam?

Widząc znaną postać, w długiej nocnej koszuli, z dużym warkoczem na plecach, stojącą na krześle — zawołała:

— To ty Felicyo? Czy chora jesteś?... Co tam robisz?

— Szukam czegoś.

— W mojej szafie?

— Tak, mam.

— Idź mi zaraz spać! Kataru dostaniesz... Powiedz przynajmniej, czego szukasz? Jeżeli chcesz czekolady, to leży na środkowej półce, obok srebrnej cukierniczki.—Ale Felicya schwyciła paczkę fotografii, które pośpiesznie przerzucała.

Pod jej niecierpliwymi palcami przesuwaly się: pani Doulce pokryta koronkami; Tagette wspaniała z gorejącymi włosami; Tonny Meyer z uszami do siebie zbliżonemi i nosem na usta opadającym; Pradel z brodą w rozkwicie; Trublet łysy, o płaskiej twarzy; M. Bondois z bojaźliwym okiem i prostym nosem nad obfitym wąsem. Chociaż nie myślała wcale w tej chwili o panu Boudois, rzuciła mu w przelocie niechętnie spojrzenie i jakby przypadkiem, spuściła mu na nos krople stearyny.

Pani Nanteuil zbudzona, dziwiła się:

— Felicyo, czego tak przewracasz w mojej szafie?

Felicya trzymając już upragnioną fotografię w ręce, odpowiedziała tylko dzikim okrzykiem radości i zeskoczyła z krzesła, unosząc z sobą podobiznę zmarłego, a przez nieuwagę i pana Bondois.

Wróciwszy do salonu, przykucnęła przed kominkiem, zapaliła papiery i rzuciła w płomień trzy fotografie Chevaliera. Patrzyła, jak się paliły i gdy z trzech kart zczerniałych i pogieętych pozostał bezkształtny popiół — odetchnęła swobodnie. Wierzyła, że tym razem odebrała zazdrośnemu nieboszczykowi substancję jego zjawiań się i wyswobodziła się od trapiącej ją zmyry.

Biorąc świecę, spostrzegła fotografię pana Bondois, którego nos zniknął pod zastygłą kroplą stearyny. Nie wiedząc, co z nią zrobić, śmiejąc się, rzuciła ją w ogień.

Gdy powróciła do swego pokoju, stanęła przed lustrem i obcisnęła koszulę, by uwydatnić kształty.

Myśl, zjawiająca się czasami w jej głowie, tym razem wyraźniej się zarysowała. Mówiła sobie:

— Dlaczego jest się tak zrobionym z głową, rękami, nogami, piersią i brzuchem? Dlaczego tak, a nie inaczej? To śmieszne!

W tej chwili kształt ludzki wydał jej się arbitralnym, śmiesznym, dziwnym. Ale jej zdziwienie prędko minęło. Patrząc na siebie, zadowolona była. Miała dla siebie głębokie, żywe upodobanie. Obnażyła piersi, trzymała je delikatnie w dłoniach, patrzyła na nie z czułością, jak gdyby to były istoty żywe, lub para gołąbków.

Uśmiechnąwszy się do nich, położyła się do łóżka. Obudziła się bardzo późno i doznała przez chwilę zdziwienia, że leży sama. Czasami we śnie rozdawała się i czując własne ciało — śniła, że doznaje pieścizot od kobiety.

## XIX.

Ostatnia próba „la Grille” naznaczona była na godzinę drugą. Od pierwszej doktor Trublet zajął zwykle swe miejsce w garderobie Nanteuil.

Felicja, poddając się zręcznym rękom pani Michon, wymawiała doktorowi, że nic jej nie mówi. Ale to ona zaabsorbowana rolą, którą grać miała—nie słuchała.

Zaleciła, by nikogo nie wpuszczano do łoża. Ale z przyjemnością przyjęła Constantin-Marc, gdyż czuła do niego sympatyę.

On bardzo był wzruszony. Aby ukryć swe zakłopotanie, silił się rozmawiać o swych lasach

Vivarais, zaczynał historję polowań, lub opowiadał bójki ludowe, których nie kończył.

— Ja mam tremę — rzekła Nanteuil. — A pan, panie Marc, czy nie czujesz stukania w żołądku?

Zaprzeczał, twierdząc, że nie doznaje żadnego wzruszenia.

Ona nalegała:

— Przyznaj pan, iż chciałbyś, żeby to wszystko było skończone?

— Jeżeli pani o to chodzi, to może wolałbym, ażeby to było skończone.

Na co doktor Sokrates spokojnym głosem zwrócił do niej to pytanie:

— Czy nie sądzisz pani, że to, co ma być dokonane, nie zostało już dokonane od wiek wieków?

A nie czekając odpowiedzi, ciągnął:

— Jeżeli zjawiska świata przychodzą do naszej świadomości jedne po drugich, to nie możemy z tego wyciągać wniosku, że one istotnie tak się zjawiają, a jeszcze mniej mamy podstaw do sądzenia, że one zjawiają się w chwili, gdy je spostrzegamy.

— To widoczne — odparł Constanin-Marc, nie wiedząc, o czem mowa.

— Świat cały — ciągnął doktor — nieustannie przedstawia nam się w formie niedoskonałej i mamy złudzenie, że on się wykończy nieustannie. Ponieważ spostrzegamy zjawiska jedne po drugich przeto sądzimy, że istotnie jedne po drugich następują. Wystawiamy sobie, że te, których nie widzimy więcej — przeszły, a te, których nie widzimy jeszcze — w przyszłości się ukażą. Ale można wystawić sobie istoty tak zbudowane, że jednocześnie spostrzegają to, co dla nas jest przeszłością i przyszłością.

Można sobie wystawić i takie istoty, których

percepcya obejmuje zjawiska w porządku wstecznym, rozwijające się od przyszłości do przeszłości.

Zwierzęta, rozporządzając przestrzenią inaczej, niż my i zdolne np. poruszać się z większą, niż światło, szybkością, wytworzyłyby sobie o następstwie zjawisk zupełnie inne od nas pojęcie.

— Aby tylko Durville nie płatał mi figli na scenie — zawołała Felicja, gdy pani Michon wkładała jej pod spódnicę pończochy.

Constantin-Marc uspakajał ją, że Durville nie myśli nawet o tem i błagał ją, ażeby zachowała spokój.

Doktór Sokrates ciągnął dalej swoje dowodzenie:

— My sami, w noc jasną, patrząc na Kłos Dziewicy, drgający nad szczytem topoli, widzimy jednocześnie, co było i jest. Można również powiedzieć, co jest i co będzie, gdyż jeżeli gwiazda taka, jak się nam przedstawia, jest przeszłością w stosunku do drzewa, drzewo jest przyszłością w stosunku do gwiazdy. Jednak gwiazda zdala pokazuje nam małą, ognistą fizyognomię, nie taką, jaką jest dziś, ale jaką była w chwili naszego urodzenia, a może nawet przed naszym urodzeniem, a topola, której młode listki drżą w chłodzie wieczornym, łączy się w nas w tej samej chwili i przedstawia się nam jednocześnie. Mówimy o jakiejś rzeczy, że jest ona w teraźniejszości, gdy ją właśnie spostrzegamy. Mówimy, że jest w przeszłości, gdy zachowujemy o niej niewyraźne wspomnienie. Chociażby rzecz jakaś została dokonaną od milionów lat, jeżeli odbieramy od niej wrażenie jak można najsilniejsze, to dla nas nie będzie ona należeć do przeszłości: będzie ona dla nas obecną.

Porządek, w jakim toczą się rzeczy w otchła-

niach świata, jest nam nieznanym. Znamy tylko porządek naszych percepcyj. Sądzić, że niema przyszłości, dlatego, że jej nie znamy, to znaczy sądzić, że książka jest niedokończoną dlatego, żeśmy jej czytać nie skończyli.

Tu doktor zamilkł na chwilę. A w ciszy Nanteuil usłyszała bicie swego serca. Zawołała:

— Mów dalej, Sokratesie, mów dalej, proszę cię. Gdybyś wiedział, ile mi swą mową dobrego robisz!... Myślisz, że nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz? Ale słuchając o rzeczach tak nieznanym, zapominam o mojem wyjściu; nie mogę zapadać się w ciemną przepaść... Ach! mów co chcesz, ale nie ustawaj...

Mądry Sokrates zapewne przewidział, jaki wpływ będą miały słowa jego, więc ciągnął dalej:

— Świat tworzy się w sposób tak nieodwołalny, jak trójkąt, którego wszystkie kąty są równe. Rzeczy przyszłe są określone, zatem skończone. One są takie, jakby istniały, istnieją już. Istnieją tak dalece, że już je w części znamy. A chociaż część ta jest malutką w stosunku do ich ogromu, stosunkowo do tego, co wiedzieć możemy o rzeczach dokonanych — jest znaczną. Możemy powiedzieć, że dla nas przyszłość nie jest o wiele ciemniejszą, niż przeszłość. Wiemy, że pokolenia za pokoleniami pracować będą i cierpieć będą. Wzrokiem sięgam po za egzystencję rasy ludzkiej. Widzę, że konstelacje na niebie zmieniają swe kształty, zdające się niewzruszonemi; widzę, jak wyprzęga się starożytny wóz, pęka tarcza Oryona, gaśnie Syriusz. Wiemy, że słońce wejdzie jutro i że długo jeszcze, w gęstej mgłę lub lekkich oparach wejdzie każdego ranka.

Adolf Meunier wszedł dyskretnie na palcach.

Doktór uściskał mu rękę:

— Dzień dobry, panie Meunier. Widzimy nowy księżyc przeszłego miesiąca. Nie widzimy go tak wyraźnie, jak nowy księżyc tej nocy, gdyż nie wiemy, na jakim niebie, szarem lub rudem, pokaże on swą fizyognomię starego rondla na szczycie mego dachu, pomiędzy kominami zdobnemi w szpiczaste kapelusze, lub romantyczne kopalki — zdziwionym oczom rozkochanych kotów. Ale przez to ukazanie się nowego księżyca, gdybyśmy dość byli uczeni, by znać z góry najniższe jego okoliczności, mielibyśmy tak jasne pojęcie o nocy, o której mówię, jak o terażniejszej; jedna i druga byłaby jednakowo obecną.

Znajomość faktów jest jedyną przyczyną, kładącą nam wierzyć w ich rzeczywistość. Znamy niektóre fakty, mające przyjść. Musimy więc uważać je za rzeczywiste. I one są rzeczywiste, są urzeczywistnione. Można więc uwierzyć, kochany Constantin Marc, że sztuka twoja graną jest od tysiąca lat, czy od pół godziny, to zupełnie na jedno wychodzi. Myśl o tem, a będziesz spokojny.

Constantin-Marc, piąte przez dziesiąte słuchający tych wywodzeń, nie czujący ani zastosowania, ani właściwości ich, odparł trochę zirytowany, że to wszystko powiedział już Bossuet.

— Bossuet! — zawołał rozgniewany doktór — mogę się z tobą założyć, że nic podobnego nie znajdziesz. Bossuet nie miał żadnej filozofii.

Nanteuil zwróciła się do doktora. Miała na głowie duży batystowy czepek z wysoką, zaokrągloną główką, przywiązany szeroką niebieską wstążką; inna, spadając na dół, ocieniała jej czoło i policzki.

Miała perukę gorącego blond koloru. Loki spadały na ramiona. Na piersiach krzyżowała się



muślinowa chusteczka, ujęta szerokim liliowym pasem. Spódnica biała w różowe paski, zapięta wysoko, nadawała jej pozór bardzo wysokiej. Wyglądała, jak postać wyśniona.

— Delage również płata figle — rzekła — czy wiecie, co zrobił Maryi-Klarze? Grali razem w „Uczonych kobietach”. Na scenie włożył jej jajko do ręki. Nie mogła się go pozbyć przez cały akt.

Gdy Nanteuil zawołano, zeszła z Constantinem Marc. Słyszeli gwar w sali, szum potwora i zdawało się im, że wchodzili w gorejącą paszczę bestyi apokaliptycznej.

„La Grille” dobrze była przyjęta. Zjawiała się w końcu sezonu bez nadziei długiego istnienia, a znalazła łaskę u wszystkich. W połowie pierwszego aktu odczuwało się styl, poezję i tu i tam jakieś niejasności. Od tej chwili zwracano się do niej z szacunkiem, udawano, że sztuka podoba się, usiłowano zrozumieć ją.

Przebaczone jej, że wcale dramatyczną nie była. Była literacką i tym razem zgadzano się na ten rodzaj.

Constantin-Marc nie znał jeszcze nikogo w Paryżu. Sprowadził do teatru trzech, czy czterech obywateli z Vivarais, którzy czerwonymi twarzami odbijali na tle pierwszego rzędu, wodzili okrągłymi oczami i oklaskiwać nie śmieli. Ponieważ nie miał przyjaciół, nikt nie myślał mu szkodzić. Nawet na korytarzach rozprawiano o nim, jako o człowieku z talentem.

Bardzo jednak wzruszony, błąkał się od jednej garderoby do drugiej, lub też krył się w głębi łoża dyrektora. Niepokoił się o krytyków.

— Bądź spokojny—mówił mu Romilly.—Powiedzą o twej sztuce dobrze, lub źle, zależnie od tego co myślą o Pradelu. A w tej właśnie chwili myślą raczej źle, niż dobrze. Adolf Meunier z bladym uśmiechem uprzedził go, że sala dobrze jest usposobioną i że krytyka znajduje, iż sztuka poprawnie jest napisana. Czekał wzamian na kilka uprzejmych słów o „Pandolfie i Klarymondzie”. Ale Constantin-Marc ani myślał o tem.

Romilly kiwał głową:

— Należy spodziewać się przykrości. Pan Meunier wie dobrze o tem. Prasa względem niego była krzycząco niesprawiedliwą.

— Boże! — westchnął Meunier—nie powiedzą o nas nigdy tyle złego, co o Szekspirze lub Moliere.

Nanteuil miała wielkie powodzenie: zaznaczało się ono mniej krzykliwemi wywoływaniem, jak raczej dyskretnem, głębszem uznaniem delikatnych znawców. Wykazała zalety, których w niej jeszcze nie widziano: czystość dykcji, szlachetność póż, wzrok czysty i dumny.

Na scenie, w czasie ostatniego międzyaktu, minister złożył jej powinszowanie. Było to znakiem, że sala dobrze jest usposobioną; gdyż ministrowie nie wyrażają nigdy opinii wyjątkowych. Za wielkim mistrzem cisnął się tłum pochlebców, urzędników, ludzi z towarzystwa, autorów dramatycznych. Z ramionami do niej wyciągniętymi wyrażali wszyscy jeden zachwyt.

Pani Doulice, znużona tym tłumem, pozostawiała na guzikach męzkich surdutów kawałeczki niezliczonych swych koronek bawełnianych.

Ostatni akt był tryumfem Nanteuil. Otrzymała od publiczności więcej niż płacze i krzyki, bo

te wilgotne, choć bez łez spojrzenia, ten szept głęboki, a prawie niemy, wywoływany jedynie istotną pięknoscia.

Czuła, że nad miarę wyrosła w tej chwili, i gdy kurtyna zapadła — szepnęła:

— Tym razem, jest!

Rozbierała się w swej garderobie, zapełnionej koszami orchidei, bukietami róż i gałęziami bzu, gdy jej przyniesiono depeszę. Otworzyła. Był to telegram z Hagi, zawierający te słowa:

„Sercem przyłączam się do ogólnych hołdów.  
*Robert*”.

W chwili, gdy skończyła czytanie, wszedł doktor Trublet. Zarzuciła mu na szyję ramiona, pałające ze zmęczenia i radości, przyciągnęła go do siebie i na tej twarzy myślącego Sylena złożyła pocałunek upojonych ust.

Sokrates, który był mędrce, otrzymał ten pocałunek jak dar losu, wiedząc dobrze, że nie był dla niego przeznaczony, ale poświęcony sławie i miłości. Nanteuil spostrzegła sama, że w swem upojeniu zbyt wiele ognia włożyła w ten pocałunek, gdyż zawołała, wyciągając ramiona w przestrzeń:

— E! co tam! jestem tak szczęśliwa!

## XX.

Podczas Wielkiejnocy nadzwyczajny wypadek powiększył jej radość. Została zaangażowana do Komedyi Francuzkiej. Od niejakiego czasu, nie zdradzając się z niczem, robiła o to starania. Matka pomagała jej. Pani Nanteuil odkąd kochaną była, stała się bardzo przyjemną. Nosila proste gorsety i spódniczki, które wszędzie pokazać mogła.

Bywała w biurach ministra i mówiono, że uległa bardzo chętnie prośbom vice-dyrektora sztuk pięknych. Przynajmniej tak twierdził Badel.

Wstał rozpromieniony.

— Mamy Nanteuil poznać nie można! Ona warta grzechu, wolę ją, niż tę jej córeczkę! Milszy ma charakter!

Jak wszystkie, Felicja Nanteuil pogardzała, szydziła z *Komedyi Francuzkiej*. Mówiła jak inne: „Wcale nie mam ochoty wleźć do tej budy“, a gdy się w niej znalazła—dumna była i szczęśliwa. A zwiększało jej przyjemność to, że miała debiutować w „Szkole Kobiet”. Już opracowywała rolę Agnieszki ze starym nieznanym profesorem, którego ceniła, gdyż zachował wszystkie tradycje.

Grała wieczorem rolę Cecylii w „La Grille“ i żyła gorączką pracy, gdy otrzymała list, w którym Robert de Ligny donosił jej, że powraca do Paryża.

W czasie pobytu w Hadze, doświadczenie wykazało mu, jak silną jest miłość jego dla Felicji. Posiadał kobiety, uchodzące za ładne i przyjemne. Ale ani pani Boumdernoot z Brukselli, wysoka i świeża, ani siostry van Cruysen, modystki, ani Zuzanna Berger z Folies-Marigny, objeżdżająca wówczas Europę południową, nie dały mu zupełnego zadowolenia. Przy nich tęsknił za Felicją i przekonał się, że ze wszystkich kobiet tej tylko pragnął. Ale bez nich nie odczułby wartości, jaką miała dla niego Felicja Nanteuil. Opierając się na słowach, powiedzieć można, że ją zdradzał. Takie jest właściwe określenie. Ale zbadawszy ściślej, faktem jest, że nie zdradził jej. Szukał jej, szukał po za nią i przekonał się, że znajdzie ją tylko w niej samej. W swym bezuży-

tecznym rozsądku odczuwał prawie gniew i przestrasz, że odtąd całą sumę swych pożądań składać musi na tej odrobinie substancyi, na istocie wątpliwej i jedynej. I tem więcej kochał Felicyę, że kochał ją z niejaką wściekłością i nienawiścią.

W dniu swego przybycia naznaczył jej schadzkę w mieszkaniu kawalerskiem, którego użyczył mu jeden z bogatych kolegów z ministryum spraw zagranicznych. Było ono w alei Alma, na dole małego domku; składało się z dwóch pokoików, obitych tkaniną w złote słońca i kwiaty, wznoszące się równo, spokojnie na murze. Stylowe meble, blado-zielone, zdobne w kwitnące łądygi, w konturach swych przybierały miękkie zarysy liliaceów, nabylwając słodczy wilgotnej roślinności. Lustro pochylało się delikatnie w swych ramach z roślin cebulkowych, o kształtach gibkich, zakończonych zamkniętymi kielichami, i w tych ramach lustro miało świeżość wody. Skóra białego niedźwiedzia leżała przed łóżkiem.

— Ty! ty!.. To ty!..

Nie mogła nic więcej powiedzieć.

Widziała jego błyszczące źrenice, ciężkie od pożądania i gdy tak na niego patrzyła, mgła coraz gęstsza zakrywała jej oczy. Subtelny ogień jej krwi, płomień jej bioder, gorący oddech piersi zbiegł się razem do jej ust i wycisnęła na ustach kochanka pocałunek napełniony tym całym żarem, a jednak świeży jak kwiat rosą zwilżony.

Pytali się jedno drugiego o tysiące rzeczy, krzyżowali pytania.

- Czy tęskniłeś za mną, Robercie?
- Więc debiutujesz w „Komedyi”?
- Czy ładnie w Hadze?

— Tak, miłe, spokojne miasteczko. Domy czerwone, szare, żółte, z zielonemi okienicami, kwiatami w oknach.

— I cóż ty tam robiłeś?

— Nic tak bardzo wielkiego...

— Nie zadawałeś się z kobietami, co?

— Ale gdzieżtam!.. Jaka ty ładna jesteś! Wyzdrowiałaś zupełnie?

— Tak, tak, wyleczona jestem.

Nagle błagać go zaczęła:

— Robercie, kocham cię. Nie porzucaj mnie. Gdybyś mnie porzucił, z pewnością nie wzięłabym innego kochanka. I cóż by się ze mną stało? Wiesz, że bez miłości żyć nie mogę.

Odpowiedział jej w sposób szorstki i gwałtowny, że kocha ją chyba za wiele i myśli tylko o niej.

— Głupieję!

Ta szorstkość zachwyciła ją i uspokoiła więcej, niż miękka słodycz przysięg i obietnic uspokoićby mogła.

Uśmiechnęła się i zaczęła rozbierać się spokojnie.

— Kiedy debiutujesz w „Komedyi?”

— W tym miesiącu.

Otworzyła swą małą torebkę i z pudełeczkiem pudru wyjęła biuletyn repetycyi, który podała Robertowi. Ten papier nieustanny zachwyty w niej wzbudzał, gdyż wyryte tam było godło „Komedyi” z datą wzniosłą epoki założenia.

— Widzisz. Debiutuję jako Agnieszka w „Szko-le kobiet”.

— To ładna rola?

— O! i jaka!

— To prześlicznie—rzekł—a teraz chodź.

Zawołał ją, nagłąc o pośpiech. Ale ona złożyła ukłon ze śmieszłą precyzją i zaczęła opowiadanie Agnieszki, kłaniając się w miejscach, gdzie tekst i tradycja to nakazywała.

Wykonywała całą grę poważnie, sumiennie i starannie. Pozy jej, trochę czasem niejasne, gdyż brakło sukni do ich podkreślenia, były wszystkie ładne i interesujące, zdradzały bowiem w tem młodem ciele twarde mięśnie, pod miękką powłoką i przy każdym ruchu odkrywały związek i harmonię, w zwykłych warunkach nie obserwowaną.

Strojąc swą nagość w przyzwoitość póż i naiwność wyrazu, fantazją swą urzeczywistniała arcydzieło, allegoryę niewinności, w guście d'Allegraina czy Clodiona. I w tej ożywionej laleczce dźwięczały z cudowną czystością piękne wiersze komiczne.

Robert, pomimo woli zachwycony, pozwolił jej dokończyć. Bawiło go to szczególnie, że rzecz najbardziej ze wszystkich publiczna—scena teatralna, przedstawioną mu była w sposób tak tajemniczy i uroczy. I patrząc na ceremonialne ruchy tej nagiej dziewczyny, miał filozoficzną przyjemność w odkrywaniu, czem robi się dystynkcję w najlepszych towarzystwach.

— No teraz—chodź!

Wówczas cała podniecona, rozpłomieniona wołała:

— A ja, myślisz, że cię nie Kocham!..

Nagle zerwała się. Oczy w słup stojące, pełne były niewypowiedzianej grozy. Z gardła jej wy-

biegł krzyk ostry, po którym nastąpiła słodka, długa skarga, jak dźwięk organu.

Wskazywała palcem, odwracając głowę, na białe futro leżące przed łóżkiem.

— Tam!, tam!.. leży z głową przedziurawioną... Patrzy na mnie, śmieje się, a krew mu spływa z kątów ust...

Oczy jej szeroko rozwarte błysnęły białkami.

Ciało w łuk się wygięło, a gdy wróciło do normy—opadła jak martwa.

Zwilżył jej skronie wodą, przywołał do przytomności.

Dziecięcym głosem skarżyła się, że czuje rozłamanie we wszystkich członkach. Czując pieczenie w dłoniach, spojrzała i spostrzegła, że z ran sączy się krew.

Rzekła:

— To paznogie wpiły się w dłoń. Ile na nich krwi, patrz!

Dziękowała mu serdecznie za jego starania i łagodnie przeproszała, że mu sprawiła tyle przykrości.

— Nie po to przyszedłeś, prawda?

Spróbowała uśmiechnąć się i spojrzała wokoło.

— Bardzo tu ładnie—rzekła.

Wzrok jej padł na biuletyn repetycyi, leżący na stoliku przy łóżku. Westchnęła.

— Cóż mi z tego, że jestem wielką artystką, jeżeli nie jestem szczęśliwą?

Nie wiedząc o tem, powtarzała słowo w słowo to samo, co powiedział Chevalier, gdy go odepchnęła.

Później, podnosząc ciężką jeszcze głowę z po-



duszki, zwróciła na swego kochanka oczy smutne i rzekła mu z rezygnacją:

— Kochaliśmy się bardzo. Teraz już wszystko skończone. Nigdy już więcej do siebie należeć nie będziemy, nigdy więcej... On nie chce!

K O N I E C.

ANULOWANO







K192

3,570

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

257332

Biblioteka WSP Kielce



0046281